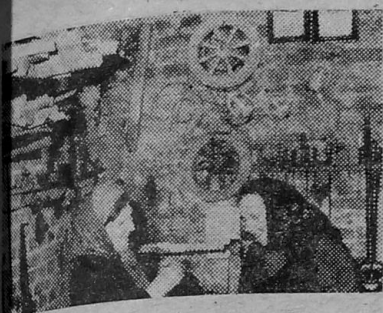


Andrzej Koziary
pod redakcją
organ samoistny



4
chwytanie
zanika-
jącego



5
jak wydać
pieniądze



10
zostać
sobą



13
zwierzenia
kruczo-
włosej

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

8

KONTAKTY
17-VIII-80
CENA 4 zł



kłosa zaglądają na podwórka

STANISŁAW ZIELIŃSKI

Jedni przychodzili od święta, jak Stanisław Wilczyński czy Marian Ciecierski, inni, jak Stanisław Konopka, bezpośrednio od obrządku: w drelichowej bluzie, lepiących się od brudu spodniach i gumowych butach. Zajmowali miejsca na długiej, stojącej przy ścianie ławie, na skrzypiących krzesłach lub na podłodze, dookoła największej dziury. Naczelnik usiadł najbliżej niej — przy ledwo trzymającym się na nogach stoliku.

— Chyba są już wszyscy? — spytał.

— Wszyscy, wszyscy — zawołali chórem, a ktoś wypalił: — Konopka o szóstej godzinie już krowy gonit, aby zdążyć wyręczyć się.

W sieni robiło się coraz tłoczniej. Był już Ireneusz Sarnacki, Janusz Leśniewski i Roman Leśniewski. Stali w drzwiach jak stojka na weselu lub kawalerowie, którzy po raz pierwszy przyjechali na zabawę. — Ciszej bądźcie — mówili młodszy. — Cicho! — odpowiadali starsi.

Jakoś nie mógł połączyć się w tym wszystkim, siedzący na podłodze przy piecu w dużych gumowych butach i czarnym ortalionowym płaszczu, Henio Leśniewski. Cuchnął alkoholem, aż policzki mu nabrzęziały, i sypał dowcipami jak z przysłowio-wego rękawa.

— Poprzedni sołtys — zaczął naczelnik wprowadzającą mowę — zmarł kilka tygodni temu. Tak się jakoś dziwnie złożyło, że wypadło to akurat przed zliwami. Kandydata na sołtysa w teczce nie przywiozłem. Musicie wybrać sami. Przypominam warunki. Musicie zgłosić trzy osoby, które będą prowadziły wybory. Zwycięzca podlega zatwierdze-

CIĄG DAJSZY NA STR. 6—7

Fot. Gabor Lörinczy

**pokaż
mi
coś
więcej**

MARTA MIKLASZEWSKA

Zofia Siudaj pracuje w Urzędzie Gminy, a Marianna Kośnik na poczcie. Kiedyś były dobrymi koleżankami, a dziś nie podają sobie ręki. Mijają się w zaciętym, wrogim milczeniu i tylko w oczach sąsiadów, w słowach i gestach lokalnej władzy, szukają potwierdzenia swoich racji.

O tej porze roku dużo tu zieleni. Drzewa i krzaki przesłaniają schludną brzydotę kilkudziesięciu murowanych domów i egzotykę kilkuset drewnianych ruder: dzielnicę zwaną „Praga” i dzielnicę „Pekin” oraz mały, pusty rynek.

Na rynku jest uspołeczniona knajpa „Zarębiana”, przy wjeździe do osiedla jej konkurentka — prywatna knajpa „Niespodzianka”. W lewo od rynku, na niewielkim wzniesieniu, biały gmach kościoła. Obok niska, zabytkowa budowla, w której mieścił się klasztor, potem więzienie, a po wojnie szpital.

CIĄG DAJSZY NA STR. 8—9



46 500 UCZNIÓW rozpocznie w przyszłym tygodniu naukę w szkołach podstawowych na terenie woj. łomżyńskiego. Nie udało się — jak stwierdzono podczas posiedzenia Egzekutywy KW PZPR w Łomży, poświęconego ocenie przygotowań do organizacji kształcenia i wychowania w nadchodzącym roku szkolnym — wyrównać dysproporcji w zaopatrzeniu poszczególnych szkół, w pomocy naukowej. W wielu szkołach utrzyma się nadmierne zagęszczenie (np. Szkoła nr 7 w Łomży zamiast 500 będzie miała 1300 uczniów).

Jeszcze, większe trudności wystąpią w wychowaniu przedszkolnym: objętych nim zostanie zaledwie 39 proc. dzieci w wieku 3—6 lat (przy średniej krajowej 49 proc.). I tutaj także Łomża (z zagęszczeniem 131 proc.) znajduje się w najgorszym położeniu.

W klasach pierwszych szkół ponadpodstawowych uczyć się będzie w tym roku 5480 chłopców i dziewcząt. Wśród nowych kierunków kształcenia znajduje się m.in. monter podzespołów elektronicznych w Zasadniczej Szkole Zawodowej w Ciechanowcu i mechanik — kierowca pojazdów drogowych w Liceum Zawodowym w Szczuczynie. Zajęcia we wszystkich typach szkół będzie prowadzić 4020 nauczycieli (o 220 za mało w stosunku do potrzeb); 180 pedagogów nie będzie posiadało jeszcze wymaganych kwalifikacji.

Przewiduje się, że do 1 września ukończone zostaną wszystkie remonty bieżące budynków szkolnych; w 10-budynkach będą kontynuowane remonty kapitalne.

Egzekutywa KW omówiła także aktualną sytuację społeczno-gospodarszą w województwie. Najpilniejszym zadaniem jest w chwili obecnej pełna mobilizacja sił i środków, w celu sprawnego przeprowadzenia żniw. Chodzi o to, aby dobrze zapowiadające się plony zbóż mogły wyrównać straty w zbiorach siana.

W centrum uwagi załóg i kierownictwa zakładów przemysłowych musi znajdować się natomiast pełna realizacja zadań drugiego półroczia. Powinny być one wykonane nie tylko we wszystkich wskaźnikach ilościowych, ale także przy jednoczesnym zachowaniu właściwych relacji ekonomicznych.

ROLNICY WE WSI Kaczynek (gmina Szumowo) już w ubiegłym tygodniu zakończyli sprzęt żniwa. Dzięki położeniu upraw w tym rejonie na lekkich glebach mogły tu wcześniej wejść na pola maszyny.

DLA LECZNICTWA woj. łomżyńskiego duże znaczenie ma budowa szpitala w Łomży oraz, przekazywana obecnie do eksploatacji, placówka w Grajewie. Ich wykonawcą jest Zjednoczenie Budowy Obiektów Użyteczności Publicznej „Budopol” z Pizsa. Realizacja tych inwestycji była przedmiotem spotkania I sekretarza KW PZPR i wojewody łomżyńskiego z dyrektorem zjednoczenia.

KRONIKA KADROWA: W związku z przejściem do innej pracy, na własną prośbę, odszedł ze stanowiska dyrektora ŁZPB „Narew” Andrzej Kuchniewski; nowym dyrektorem „Narwi” został Tadeusz Sawicki (lat 51), dotychczasowy wicedyrektor Zambrowskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego. Ze stanowiska naczelnika gmin odwołani zostali: Jan Wacławski (gmina Zbójne) i Edward Szepietowski (gmina Boguty). W Urzędzie Wojewódzkim odwołano dyrektora Biura Organizacyjno-Prawnego i Kadr — Adama Anusiewicza oraz dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki — Emilię Tomecką. Sekretarzem Komitetu Gminnego PZPR w Szepietowie została Maria Skorupa (lat 34), dotychczasowy wiceprezes GS w Szepietowie. W związku z przejściem na rentę odszedł ze stanowiska dyrektora Łomżyńskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego Czesław Podbielski. Na nowego dyrektora ŁPB powołano Tadeusza Słojewskiego (lat 50), który był dotychczas dyrektorem Wojewódzkiej Dyrekcji Rozbudowy Miast i Osiedli Wiejskich.

OCHOTNICZA STRAŻ POŻARNA w Trzciannem obchodziła swoje 70-lecie. Z tej okazji wręczono jej sztandar ufundowany przez mieszkańców gminy.

NA MIĘDZYNARODOWYM obozie w Koźle przebywa 61 uczniów

z Lipska (NRD), 20 pionierów z Wiednia — (Bulgaria) oraz 40 harcerzy łomżyńskich.

WĘGIERSCY UCZESTNICY spływu kajakowego wyrazili uznanie łomżyńskim gospodarzom (Zarząd Wojewódzki PTTK w Łomży) za dobre przygotowanie imprezy turystycznej. Goście Ziemi Łomżyńskiej są członkami Węgierskiego Towarzystwa Miłośników Przyrody, a polsko-węgierski spływ, w którym uczestniczy 200 osób nosi nazwę gen. Józefa Bema.

PO OBERWANIU chmury w gminie Grodzisk (woj. białostockie) wyłała rzeka Pelchówka, zagrażając gminie Perlejewo. Dla jej mieszkańców ogłoszono alarm przeciwpowodziowy.

W URZĘDZIE GMINNYM w Goniądzu tylko jedna osoba mogła udzielić jakiegokolwiek informacji o przebiegu żniw. Z bardziej kompetentnych urzędników nie było nikogo, gdyż naczelnik wyjechał w nieznanym kierunku, wysyłając równocześnie na urlop swego zastępcę, kierownika służby rolnej (od 23.07—20.08.) tudzież jedyną referentkę rolną.

PO RAZ TRZECI członkowie Młodzieżowej Wszechnicy Dziennikarskiej przebywają na obozie warsztatowym, który tym razem zorganizowany został w Koźle n/Pisą.

POŁ MILIONA złotych wynoszą straty wskutek pożaru w Zakładach Płyt Wiórowych w Grajewie: jego przyczyną był samozapłon pyłu na rolkach prasy głównej.

PO RAZ PIERWSZY w tym roku zastosowano w Łomżyńskim nową, doustańską szczepionkę dla świń — „Orwac”. Można dzięki niej skuteczniej zwalczać groźną chorobę zakaźną — różycę oraz o połowę zmniejszyć ilość szczepień, wykonywanych przedtem za pomocą strzykawki.

U ROLNIKA Stanisława M. ze wsi Wyrzyki (gmina Łomża) znaleziono 7 litrów spirytusu z nielegalnej produkcji, które zatrzymano jako dowód rzeczowy.

WYMUSZENIE PIERWSZENSTWA przejazdu było przyczyną wypadku samochodowego, w którym zginął Bolesław Kozłowski, zamieszkały w Andrzejewie.

NADUŻYCIE ALKOHOLU spowodowało śmierć Stanisława L. (lat 36, ojca czwórki dzieci) zamieszkałego w Łomży oraz Tadeusza B. ze wsi Zabiele (nieumyślnie postrzelenie).

nym (do 111 tysięcy hektarów) był on nadal niższy niż planowano (o 150 tysięcy hektarów).

W ZWIĄZKU Z DUŻYMI stratami w działalności wielu spółdzielni kolekcji rolniczych przewiduje się, że w drugim półroczu br. banki będą rozwiązywać umowy kredytowe z tymi SKR-ami, które będą prowadzić nadal niewłaściwą gospodarkę. Od przyszłego roku spółdzielnie pracujące szczególnie źle będą likwidowane.

W LIPCU BR. ceny psaz nabywanych przez rolników w transakcjach wolnorynkowych wykazały wyraźną tendencję zwyżkową, a zwłaszcza żyta (o 28 proc.), ziemniaków (16,8 proc.) i siana łakowego (28,8 proc.).

ŁĄCZNE STRATY powodziowe szacuje się na 20 miliardów złotych; zalanych zostało ponad 1,7 miliona hektarów użytków rolnych oraz 41 tysięcy gospodarstw. Uszkodzonych jest 10 tysięcy budynków na wsi i 6,7 tysięcy w miastach. Długość uszkodzonych dróg wynosi 1800 kilometrów.

DĄBROWSKA FABRYKA Obrabiarek — jak podała „Trybuna Robotnicza” — wydała w ubiegłym roku 53 tysiące złotych wyłącznie na kupno kwiatów ciętych do upiększania sali zebrań. Zaś koszty jednej z narad obejmowały poza kwiatami 100 butelek soku malinowego, przy piću którego stłuczono — wedle rachunku — kieliszki za 360 złotych. Cała informacja dotyczy życia aktywności niektórych zakładów pracy.

W UBIEGŁYM ROKU ponad 1400 szesnastoletnich dziewcząt zostało matkami, u 200 tysięcy dokonano zabiegu przerywania ciąży, a sądy wydały 26 tysięcy zezwoleń na małżeństwo niepełnoletnich. Dane te przytoczono w programie TV na temat: czy uświadamiać młodzież szkolną.

PAPIEŻ JAN PAWEŁ II uda się w listopadzie z 5-dniową wizytą do RFN.

200 OSÓB DZIENNIE umiera z głodu w Ugandzie; przyczyną tego jest niestabilizowana sytuacja w kraju, uniemożliwiająca rozdział żywności.

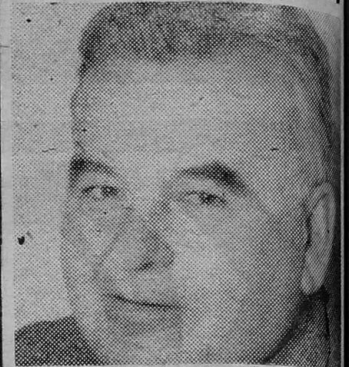
CYKLON „ALLEN”, określany przez meteorologów jako najpotężniejszy huragan w tym stuleciu, spowodował już śmierć ponad 80 osób.

ZA CZTERY LATA w Zachodniej Wirginii (stan USA) ruszy zakład przetwarzający na skalę przemysłową węgiel na paliwa płynne.

OSIEM PROCENT ENERGII światowej pochodzi obecnie z elektrowni atomowych. Do roku 1985 udział ten ma wynieść już 16 proc.

AMERYKAŃSKA SONDA kosmiczna „Viking-1” nie stwierdziła śladów życia na Marsie. Według przesłanych zdjęć jest to wymarła, skuta lodem planeta nawiedzana przez gwałtowne burze piaskowe.

dwa tygodnie ekonomiki



POZORY

Nie od dziś toczy się dyskusja o temacie nazewnictwa. Oburzają przeciwnicy palenia tytoniu, można nazywać najpopularniejsze nas papierosy „Sportami”. Przeciwnicy „sportu do zdrowia”, a papierosy — trucizną.

Aż dziw bierze, że kierownicy klubów kultury czy klubów seniorów wystosowali zbiorową petycję przeciwko nazwie wódki „Klubowej”. Brak też oburzenia palestry z powodu rozprowadzenia na rynku likieru jajecznego „Advocat”.

Zebymy się dobrze rozumieli: popieram zgubnego nałogu palenia. Argumenty autorytetów lekarskich są aż nadto przekonujące: tyto szkodzi. Nikt chyba nie ma wątpliwości co do — wyniszczającego organizm — działania alkoholu. Chodzi mi natomiast o środki walki ze złem.

Mam wątpliwości, czy zmiana nazwy „Sporty” na „Trujace”, a wódki „Klubowej” na „Sromotnikowej” zniechęci palących i pijących. Przecież nie może nam chodzić o grę pozorów. Najpiękniejsza nazwa zmieni działania alkoholika, niewdzięczniejszy napis na pudełku zniewuluje zgubnego działania nikotyny. I na odwrót. Dlatego jestem zwolennikiem rozwiązań może mniej spektakularnych, ale bardziej skutecznych. Nie nazwy trzeba zmieniać, a zmniejszyć spożycie.

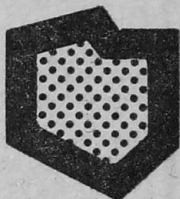
Przed dwudziestu laty statystyczny mieszkaniec naszego kraju wypalił rocznie 1539 sztuk papierosów — ponad 4 sztuki dziennie, wliczając w to noworodków. Obecnie roczne zużycie papierosów wynosi już 20 sztuk na jednego mieszkańca — więcej niż 7 sztuk dziennie.

Według danych z budżetów rodzinnych, prowadzonych na zlecenie GUS-u, w gospodarstwach pracowniczych wydano — w przeliczeniu jedną osobę — 1,7 proc. ogólnych wydatków na wyroby tytoniowe i 1 proc. na alkohol. Jest to niebagatela na sumę: ponad 1500 złotych rocznie.

Ostatnią sprawą, którą bym proponował, to zmiana nazw: Zasadzić się — z przyjętą ostatnio — tendencją ograniczenia reklamy. Szukając środków finansowych, papieru i szkła na nic nie mówiące i niepotrzebne slogany: „Kupujcie w sklepie WPHW”. Nic nie dają tablice: „Życzmy przyjemnych zakupów”. Nie ma to reklamę i propagandę antytytoniową i przeciwalkoholową. Za to jest jej w radiu i TV, za to w czasopiśmie. Sądzę też, że nie powinna to być propaganda finansowa ze środków instytucji społecznych, które za swą powinność mają zwalczać nałogi. Dlatego — karskimi siłami — publicystyka, portażem, felietonem — możemy i le do tego zrobić w antypropagandzie zgubnych przyzwyczajenia. W tej da reportaż o tym, do czego prowadzi doprowadzić alkohol, czy publicystyka o rakotwórczym działaniu palenia, niż werbalne, mało mówiące hasła: „nie pal”, „nie pij”.

Spyta ktoś, co to ma wspólnie ekonomikę? Co ma nałóg do gospodarki? Wystarczy policzyć ile papierosów składa się na kolorowy telewizor i za ile butelek wódki można kupić automatyczną pralkę, nie mówiąc „maluchu”. Wystarczy też pamiętać, że można by zrobić pozytywne wrażenie przez czas strawiony w dymie papierosowym, przy kieliszku.

ERZY BIELIŃSKI



GUS O WYNIKACH gospodarczych pierwszego półroczia: nadal utrzymuje się przewaga wolnych miejsc pracy nad liczbą osób poszukujących jej; wskaźnik inflacji wyniósł 6,3 proc.; nastąpiła pewna poprawa sytuacji energetycznej, wyłączenia prądu zmniejszyły się o 44,7 proc.; pogłowienie bydła spadło o 3 proc.

MIMO ŻE W ROKU ubiegłym wzrósł areal gruntów przekazywanych z PFZ rolnikom indywidualnym



PRZYWÓDCY ARABSCY ustalili na szczycie w Casablance wspólne stanowisko wobec decyzji Izraela o aneksji Jerozolimy. Już dziesięć krajów arabskich oświadczyło, że będą bojkotować (włącznie z użyciem broni naftowej) wszystkie państwa, które uznają izraelski status Jerozolimy. Arabia Saudyjska ostrzegła, że jeśli Radzie Bezpieczeństwa nie uda się podjąć stanowczych kroków w kwestii Jerozolimy, to na Bliskim Wschodzie może dojść do wojny.

SEKRETARZ STANU USA Edmund Muskie poddał krytyce apele

Partii Republikańskiej i jej kandydata na prezydenta Ronalda Reagana, wzywające do uzyskania przez Stany Zjednoczone przewagi militarnej nad ZSRR.

ZAKOŃCZYŁ SIĘ trwający od dziesięciu lat spór między Flamandami i Walonami w Belgii, który był przyczyną upadku kilku gabinetów. Przyjęta przez senat ustawa w sprawie regionalizacji kraju przewiduje uzyskanie przez obie zwalone prowincje szerokiej autonomii, pozostawiając w gestii rządu federalnego politykę zagraniczną, obronną, ogólną politykę gospodarczą i oświatę.

DZIĘKI TRWAJĄCYM od 1974 roku wysiłkom K. Waldheima przywódcy Greków i Turków cypryjskich zgodzili się wznowić rokowania w sprawie politycznego uregulowania kryzysu na wyspie.

OD CHWILI WYKRYCIA spisku przeciwko rewolucji irańskiej Islamski Trybunał Rewolucyjny skazał już 49 osób na karę śmierci.

kontakty kontaktów

„Kontakty» od pierwszego numeru ustawiły sobie bardzo wysoką poprzeczkę. Dotyczy to, według mnie, różnorodności form i poziomu literackiego, ale także tego, co wynika z tytułu czasopisma. Weszło ono w zdecydowanie w środowisko, nie zapożycza inspiracji i treści z odległych terenów, a jednocześnie nie jest pismem opłotkowym. Mimo to jest coś „podwarszawskiego» w ogólnej tonacji Pisma jak i w sposobie wyrażenia siebie i swego otoczenia.

Nie byłbym działaczem partyjnym, gdybym nie przeszedł Waszych kolumn od strony bezpośredniej problematyki życia partyjnego. Wydaje mi się, że w „Kontaktach» jest zbyt nikły ślad — chociaż każde inne czasopismo niestety ani więcej, ani lepiej na ten temat nie pisze (z wyjątkiem „Życia Partii»). Nie wiadomo dla czego problematyka ta jest trudna dla szanujących się publicystów.

„Kontakty» są nam bliskie — nie tylko ze względu na odległość i sąsiedztwo, ale także zbieżność problematyki i sympatyczny nam zespół ludzi tworzących to ciekawe, tak dobrze startujące pismo.

Życzę Wam pełnej satysfakcji, lekkiego pióra i wielu sukcesów w „Kontaktach» — z ludźmi i ich problemami.

ZBIGNIEW BIALECKI
I sekretarz KW PZPR
w Suwałkach

„Właściwa tematyka, że znaczna doza humoru oraz (co jest również istotne) krytyki — stały się stałą dewizą „Kontaktów». Nie szczędzi się więc nie pracujących urzędników, administracji oraz wytyka się wady naszym samych; poszczególnych członków łomżyńskiej społeczności.

Dobrze się dzieje, że wiele miejsc „Kontaktów» poświęcają zagadnieniom naszego rolnictwa. Dominuje u nas produkcja rolna, toteż problemy wsi winny interesować i Redakcję w jeszcze większym stopniu niż dotychczas. Wśród tematów, które chętnie widziałbym w piśmie wymienię przynajmniej dwa: problem następców oraz problem „żony dla rolnika». Tylko pozornie jest to biała sprawa, ale kiedy uzmysłowym sobie, że np. w niektórych wsiach przypada siedmiu mężczyznom na jedną „wolną» kobietę, wówczas rzecz widzi się we właściwych rozmiarach. Myślę, że dobrym sojusznikiem może stać się w tym względzie rubryka matrymonialna w „Kontaktach» na wzór „Miodowej gałązki». Ale to tylko jedna strona medalu. Według mnie powinniście również propagować postawę tych dziewcząt, które zdecydowały się na wies powrócić.

STANISŁAW KOSSAKOWSKI
Kossaki Nadbielne

„Gratuluje naprawdę dobrego tygodnika. Pozdrowienia.

KIRA GALCZYŃSKA
publicysta „Trybuny
Ludu»
Leśniczówka Pranie

Rozstrzygnięty został konkurs „Mnie to zainteresuje», który poprzedził ukazanie się „Kontaktów». Dzięki uprzejmości „Gazety Współczesnej», za której pośrednictwem propagowaliśmy ten konkurs, samo pismo, zebraliśmy od państwa wiele ciekawych propozycji, bardzo nam obecnie pomocnych w redagowaniu pisma i nadawaniu mu kształtu zgodnego z życzeniami naszych Czytelników.

Główną nagrodę — radioodbiornik tranzystorowy — otrzymuje Andrzej Waciejewski z Łomży (prosimy o osobiste zgłoszenie się do redakcji). Pozostałe nagrody wysłaliśmy pocztą. Wszystkim uczestnikom konkursu redakcja serdecznie dziękuje.

Napływa do nas coraz więcej anonimów. Przypominamy, że drukujemy tylko listy podpisane lub z adresem i nazwiskiem podanym do wiadomości redakcji.

Tuż za Małym Płockiem wieś Rakowo-Zalesie. Dość gęsta zabudowa wzdłuż szosy na Kolno. Jedna z polnych drózek prowadzi daleko w bok — do samotnego, nowego domu państwa Władysławy i Eugeniusza Ramotowskich. Stoi on wśród pól i łąk czternastohektarowego gospodarstwa.



Dzień jest deszczowy. Zastajemy rodzinę w domu. Trzej synowie — dwudziestoletni Wiesław, siedemnastoletni Zdzisław i szesnastoletni Jarosław — grają w karty. Jedyne gospodarstwo poza domem.

— Już nadchodzi — mówi żona. — Trudno mu usiedzieć na miejscu. Kupiliśmy właśnie fiata, więc ciągle przy nim grzebie, ogląda.

— Tak — potwierdza Eugeniusz Ramotowski — jeszcze nie nacieszyliśmy się nowym nabytkiem. Kupiłem go, bo sądzę, że łatwiej będzie któremuś z synów zdecydować się na pozostanie w gospodarstwie.

— Czyżby najstarszy?

— Nie wiem. Na razie nie zdradza wielkiej ochoty. Wrócił niedawno z Ochotniczego Hufca Pracy. Od-rabiał tam służbę wojskową i ukończył dwuletnią szkołę budowlaną. Średni zdał do trzeciej klasy Technikum Mechanizacji Rolnictwa w Marianowie, a najmłodszy — do drugiej weterynaryjnej. Z takimi fachami każdy może zostać na wsi.

— Jesteście, Państwo, jeszcze młodzi i pełni sił. Możecie tak długo pomagać temu z synów, który zdecydował się zostać na roli, aż stanie pewnie na nogach.

— Ależ oczywiście! Poza tym teraz będą mieli dużo złej. Prawie wszystko zmechanizowane. Jeszcze tylko trochę poszerzę jedną oborę. Inni pobrali pożyczki, pobudowali piękne budynki. Prawie puste stają. Cóż z tego, że obora wielka, kiedy krów na lekarstwo. W tym roku, chociaż pogoda taka marna, wysuszyłem już pierwszy pokos siana. W ubiegłym nie bardzo obrodziło zboże. We wsi mieli tylko jedenaście kwintali z hektara. Ja jeden, nie chwałąc się, trzy tony sprzedałem. Wszystko u nas zmieniło się na dobre od 1975 roku, kiedy zało-

żyli nam światło. Teraz wiemy, jak można żyć.

— Na początku nie było wesoło — wspomina Władysława Ramotowska. — Kiedy po ślubie wzięliśmy się do pracy na ziemi, gospodarstwo było podupadłe. Rodzice w starszym wieku, nie mieli sił na tak ciężką pracę. Dużo pomogła nam służba rolna. Dawali konkretne wskazówki, wiedzę fachową, a my roboczną.

— Ze Stacją Hodowli Roslin w Białymstoku do dziś utrzymujemy stały kontakt — podchwytuje mąż. — Przyjeżdżają, pobierają próbki ziemi, i wtedy wiem dokładnie, gdzie i ile jakiego nawozu potrzeba. Właśnie dzięki temu mam takie dobre wyniki. Inni rolnicy nie utrzymują kontaktów ze Stacją; może nie wierzą, że to daje rezultaty? A może nie mają ochoty dodatkowo popracować? Ale opłaca się naprawdę. Przecież my tylko z pracy własnych rąk wypracowaliśmy te wszystkie maszyny, zabudowania, no i fiata.

— U nas w domu nie siedzi się z założonymi rękami — mówi żona. — I do wsi na plotki się nie chodzi.

— Nawet w tym roku — uzupełnia gospodarz — kiedy mamy czasu wyjątkowo dużo, bo nie nie budujemy.

— Dzieci też raczej w domu siedzą. Co na wies będą latać? Tam żadnych lepszych rozrywek nie znajdują. Ani kina, ani klubu czy boiska sportowego. Jak w niedzielę chcą pokopać piłkę z kolegami, to im trawy nie żalują. W domu posiedzieć też już przyjemnie, choć na razie kupiliśmy nowe meble tylko do pokoju gościnnego. Marzy mi się jeszcze jakiś ładny segment do kuchni. No i dywany. Ale przez

ten samochód muszę trochę odczekać.

— Układa się nam nieźle. Tylko najstarszemu synowi nie mogę przestłumaczyć. On mi powiada, że dla niego, murarza, najlepsze życie na Śląsku. Ze zarobi osiem—dwanaście tysięcy. Ja mu na to: „Policz sobie! Za mleko biorę dwadzieścia cztery miesięcznie. Swiniaków się uchwala, zboże sprzedaje. Czterdzieści tysięcy średnio będzie. A ile tam na życie trzeba wydać? Tutaj masz wszystko własne».

— Nie pasuje mi zostać w domu — upiera się Wiesław. — Zawsze mogę pomóc w sezonie, ale siedzieć tu nie chce.

— A gdzie pójdziesz?

— Do Łomży, do tej nowej fabryki domów.

— Praca murarza jest bardzo ciężka.

— Mnie to odpowiada. W OHF pierwszy byłem. Nikt nie mógł się ze mną równać. Murowanie. Tynkowanie. Mnie to ciągnie. Niech Zdzisław tu zostanie, on chodzi do szkoły rolniczej.

— Jak skończę, to zobaczymy — mówi zagadkowo Zdzisław.

— On zostanie, jemu to odpowiada — zapewnia Wiesław.

Tak, on najbardziej do gospodarstwa przywiązany — stwierdza ojciec. — Każde zwierzę przytuli, zaopiekuje się nim. Ale na razie niech się uczy. Wiesiu pójdzie trochę do pracy, potem zobaczymy. My sobie jeszcze radę damy. A jak powiększymy oborę, to dużo lepiej będzie się nam powodzić. Nie chciałem jej w tym roku całkiem roz-walać i nowej stawiać, bo zupełnie dobra jeszcze. Pieniądzy i własnej pracy szkoda. Ale myślę, że jak który syn tu zostanie, to ja pewnie przewróci.

PANAŁEK
Fot. GABOR LÖRINCZY

z powodu fiata

chwyłanie zanikającego

W drugiej połowie lipca zaglądało do Nieckowa kilku dziennikarzy radiowych i prasowych z Warszawy. Do odwiedzenia tej małej wioski w gminie Szczuczyn zachęcał ich eksperymentalny obóz gwaroznawczy, zorganizowany przez kilku łomżyńskich pasjonatów — Helenę Czernekową, Henrykę i Zdzisława Sędziaków i młodzież szkół średnich. Obóz miał charakter ogólnopolski, a nawet międzynarodowy, ponieważ gościł piętnastkę Czechosłowaków, a właściwie polonusów z czeskiego Cieszyńska. Najlicniejszą ekipą była grupa podopiecznych Henryki Sędziakowej. Od miesięcy pracowali nad gwara Mazowsza; podobnie jak ich poprzednicy, którzy opuścili szkolne mury. Pozostawili samodzielne opracowania wybranych zagadnień językowych.

Na obiad wracali zmęczeni, lecz uśmiechnięci. Brakowało jeszcze dwóch grup. To normalne; nie zawsze można wrócić punktualnie, gdy kilometry dróg przemierza się pieszo, czasem podjeżdżając drabiniastym wozem. Niełatwo też było opuszczać gościnne chaty. Mieszkańcy nie tylko chętnie odpowiadali na pytania ankietowe; potrafili też opowiadać i śpiewać. W Gutach gospodyni, zachwycona dziewczętami z magnetofonem, pobięła dwa kilometry, żeby sprowadzić „dla telewizji” spiewaka ludowego — chlubił wsi. Często wracali obładowani podarkami, na które polakomiloby się niejedno muzeum regionalne. Niejednokrotnie starszy ludzie dziwili się, że dziewczęta, zamiast biegać za roslami chłopakami, oglądały się za nimi.

Przeprowadzanie wywiadów nie poszło tego dnia wszystkim gładko. Jedną z grup długo musiała tłumaczyć, że nie są świadkami Jehowy, lecz przyszłymi językoznawcami. Można przypuszczać, że dla części z nich okazało się to prawdą. Póki co, pilnie uczestniczyli w wakacyjnych wykładach doc. dr hab. Barbary Falińskiej z Instytutu Języka Polskiego PAN. W szkole nauka o języku traktowana jest zazwyczaj po macoszu. Cóż dopiero mówić o dialektologii i gwaroznawstwie? Tutaj nie tylko poznali wiele ciekawych rzeczy, ale także mieli świadomość, że robią coś ważnego, pożytecznego. Przyczyniali się przecież do powstania słownika gwar polskich.

W przyszłym roku za łomżyńskim przykładem pójda inne województwa — ślaskie, suwalskie, nowosądeckie. Zajęcia obserwowali nauczyciele stamtąd, którzy będą organi-

zować podobne obozy. Dwie panie już wkrótce podejmą pracę w PAN-ie. Zajmą się tworzeniem młodzieżowych ośrodków badań gwaroznawczych, archiwów, oraz przekonywaniem różnych instytucji o wadze i pilności prac nad dialektami i gwarami, które przecież zacierają znikając, a różnice między nimi szybko się zaciera. Do standaryzacji języka skutecznie przyczyniają się środki masowego przekazu.

Lingwistyczne zainteresowania łomżyńskich mają swoją dobrą tradycję. Towarzystwo Naukowe im. Wągów organizowało w Łomży międzynarodowe sympozja sławistów z udziałem profesora Witolda Doroszewskiego. Po jego śmierci pracami Towarzystwa interesuje się m. in. profesor Stanisław Skorupka.

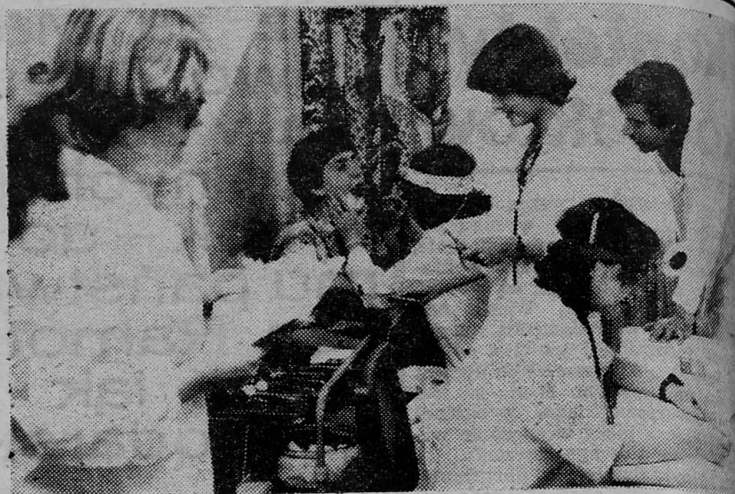
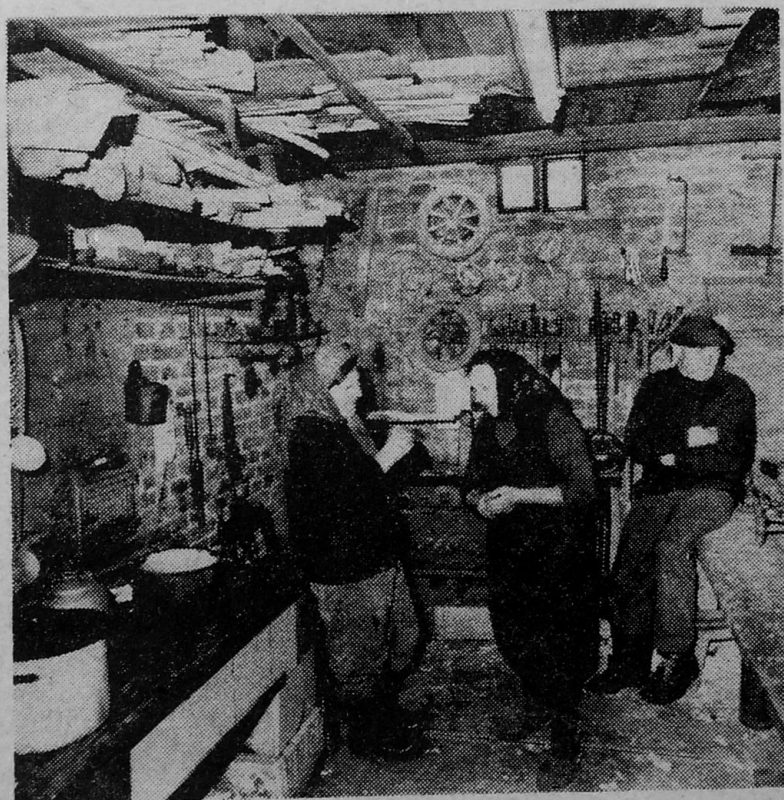
Bogaty już materiał będzie uzupełniony przez Towarzystwo Miłośników Szczuczyna. Kłopotliwa sprawa staje się magazynowanie ankiet, opracowań, nagrań. Nie chodzi tylko o ich przechowywanie, ale i o udostępnienie zainteresowanym. Pracownicy naukowcy nie musieliby rozpoczynać ponownie, na własną rękę, czasochłonnej pracy. Nienadzwyczajnym pomysłem wydaje się tworzenie archiwów we wsiach. Kto miałby się nimi opiekować? Nawet w Łomży trudno będzie znaleźć odpowiednie miejsce. Może w Archiwum, może w którejś ze szkolnych bibliotek? Wydział Kultury wymyśli pewnie jakieś rozsądne rozwiązanie.

To kłopoty na jutro. Dziś wszyscy są zadowoleni.

W Łomży od maja, słyszy się tylko o studentach, którzy zjeżdżają ze swoimi programami artystycznymi. Prowadzą eksperymenty kulturalne i naukowe. Istnienie i użyteczna praca łomżyńskiej młodzieży są ledwo dostrzegalne. Spotkał nas już zarzut, że „Kontakty” nie doceniają działalności studentów. Wydaje nam się, że jedna i druga sprawa zasługuje na zainteresowanie, choć różna jest ich waga dla życia regionu. Czy jednak poczynania uczniów łomżyńskich nie powinny przede wszystkim interesować odpowiednie organizacje młodzieżowe? Bo jak na razie, działania tych organizacji chętniej mówią o sukcesach studentów niż o dokonaniach własnej młodzieży.

DANUTA SOBOLEWSKA

Fot. Gabor Lőrinczy



dobry lekarz! skarpety kazal zdjąć

W poniedziałek przez Zabiele poszedł cech: studenci z Akademii Medycznej z Warszawy będą w szkole badać młodzież. — Ile lat ma mieć ta młodzież? Jeśli ja mam siedemdziesiąt, to chyba też mogę — zastanawia się starszka.

Z osinobusu wysypało się piętnaście dziewcząt z grupy pediatrycznej. Obozują w Koźle, myją się w Kolnie, pracują w okolicznych wsiach. W Zabieliach są po raz drugi. Dzień deszczowy, więc z biela fartuchów kontrastują czerwone, czarne i żółte gumowce. Dzieci już czekają. Badania to atrakcja w deszczowe wakacje. Najczęściej przychodzą same, tylko niektóre trzymają się mamińskich spódnic.

— Dobrze, że są takie badania — mówi jedna z matek. — Do lekarza w Kolnie trudno się dostać, a w Zabieliach nie mamy ośrodka zdrowia. Syn mój jest zdrowy, ale dlaczego nie skorzystać z okazji? — To nie są prawdziwi lekarze, bo nie dają zastrzyków — wątpi Krzysztof.

Gromada, z dziećmi, wchodzi do klasy zamienionej w gabinet lekarski. Ławki — zestawione po dwie, przykryte kocami i prześcieradłami — to leżanki. Na wprost drzwi waga, pod ścianą miednica z wodą. Maluchy nie czekają na polecenie, rozbierają się do majteczek; wiedzą, że tak u lekarza trzeba. Jedenastoletni Marek jest dumny: badają go dwie aż studentki. Śmiało położył się na leżance. Pierwszy wpis w karcie ewidencyjnej: płaskostopie.

— Powinien chodzić w specjalnym obuwii — sugeruje Joanna z II roku medycyny.

— Wiem, kiedyś miał takie wkładki, ale gdzieś je zgubił — tłumaczy matka Marka. — Głowie syn ma czystą — dodaje, nieufnie przyglądając się pracy studentek.

— Oddychaj głęboko, nie oddychaj — Urszulę osłuchują na dwie słuchawki Jadwiga i Halina. Dziewczynka jest szczupłą, drobną. Pracownicy rodzice wysłali ją na badania sama; może odkryją w niej jakąś chorobę albo lekarstwo na tę chudość. Znalazły — wszawice.

Małgorzata ma piętnaście lat i zapadniętą klatkę piersiową.

Joanna: — Powodem jest brak witaminy D. Czy w Zabieliach jest przychodnia albo laboratorium? — Szybko reflektuje się: — Musisz, Małgosiu, pojechać do Kolna, zrobić badania krwi.

Małgorzata milczy. Skierowanie schowała do kieszeni; chyba na zawsze.

Grzegorz przyszedł z babcią: — Nie chce jeść, może, przepisza jakąś witaminę?

— Jak będzie słodka, to wypije. — zastrzega się wnuczek.

W oczach topnieje sterta owianolu — szamponu przeciw wszawicy. Wzięła go Irena, Lucja, Izabela. Sławek i kilkadziesiąt innych dzieci.

Danuta Broniszewska, przyprowadziła na badania całą piątkę. — Wiele dowiedziałam się o pielęgnacji dzieci. Studentki wiedzą więcej niż niejeden lekarz. Jeśli któraś czegoś nie wie, to jej druga podpowie.

Krzysztof przyszedł sama. Przy wejściu zaopiekowały się nią Iza i Mariola. Po badaniach wpisały w karcie Krzysia: „We włosach gniły, odstające łopatki, próchnica zębów”

Iza: — Chodzisz, Krzysiu, do dentysty?

— Nie chodzę.

Iza stukła łopatką w kolejne zęby.

— A ten cię nie boli?

— Bolał wczoraj, to wzięłam proszek.

Danuta Ciepiewska, adiunkt w Klinice Pediatrycznej w Warszawie: — Większość dzieci w Zabieliach i w innych, badanych przez nas, wsiach ma zaawansowaną próchnicę zębów. Nic dziwnego, że dzieci nie chodzą do stomatologa: w rodzinach nie mają przykladu. Ojciec matka, rodzeństwo, wstawiają same brne zęby i sądzą, że jest to ozdoba.

Halina Mierzejewska ze swojej trójki nie była jeszcze na badaniach. — Pani dyrektor szkoły pominęła mi o tym rano w sklepie. Często jeżdżę z dziećmi do lekarza. Pięcioletni Jarek ma od kilku robaki. Ale nikt nie może na to poradzić. Może wybiorę się na badania, ale wątpię, żeby coś mogły.

Trójka trzynastoletnich chłopaków hasa na rowerach.

Marek: — Wiem, że są badania, ale ja jestem zdrowy.

Krzysiek i Jurek: — Niedawno szkołę był lekarz; po co jeszcze iść?

Przed domem opala się, czy odpoczywa, kilku osiemnastolatków. — Warto iść na badania, są ładne dziewczyny.

— Dziewczyny mamy we wsi. Gdyby wódkę dawali, to można pójść.

Popołudnie. Sąsiadki przy drodze wymieniają poglądy.

— Ja lekarzom nie wierzę. Po lat chodzisz do przychodni i nie powie, że dzieciak ma płaskostopie.

— Moje dziecko jest zdrowe, mówi matka pięcioletniego Marka z włosami kręconymi jak u małpki.

— To niemożliwe, żeby w Zabieliach tyle dzieci miało wszawicę. Chociaż może...

— Wszawice oznacza lenistwo; jak o siebie nie dba, to takie są skutki. — Wszystkiemu winne są matki, nie dbają o dzieci.

— To chyba nie od tego zależeć, czy się myje, czy nie. Raczej od tego, że się poci.

— Albo już się taki człowiek urodził, że ma wszawicę.

— Po lekarzach nie trzeba chodzić, wystarczy nie jeść mięsa, dużo mleka — radzi bezzębna, sześćdziesięcioletnia starszka.

— Dwie godziny czekałem i nie przyjęli — mówi zdenerwowany czterdziestolatek.

Fakt, że zaplanowano badania tylko dla dzieci, ale do szkoły ciągnęła się i dorosła. Doktor Tadeusz Feltynowski, opiekun grupy — chcąc nie chcąc, musiał otworzyć drugi gabinet. Siedzą więc ci dorośli i czekają.

— Jesteśmy tu od dwóch godzin, może coś z tego czekania będzie. Trzeba wykorzystać każdą okazję, mówi Halina Kwiatkowska.

Z gabinetu wyszedł rześki starszyszek. — Dobrze mnie badał, buty zał zdjąć, skarpety, nogi podnieść, góry. Dobry lekarz.

WIESŁAW KOŁOWSKI
Fot. GABOR I LŐRINCZY

(Imiona i nazwiska mieszkańców zostały zmienione).



dzieci ulicy

Władysław Pajęcki, społeczny kurator sądowy, działacz Towarzystwa Przyjaciół Dzieci: — Województwo łomżyńskie zajmuje jedno z pierwszych miejsc w Polsce pod względem przestępczości nieletnich. Na drogę przestępczą wkraczają najczęściej dzieci z rodzin rozbitych, wielodzietnych, alkoholików. Kuratorzy zawodowi i społeczni mają za zadanie zająć się takimi przypadkami i zapobiegać (wraz ze szkołą, rodzicami, kuratorami społecznymi) dalszemu wzrostowi przestępczości wśród nieletnich.

Ważną przyczyną tego zjawiska jest zbyt rzadkie poświęcanie im czasu przez rodziców. Dorośli, zajęci zdobywaniem złotych, zapominają o swoich dzieciach albo już nie mają dla nich siły i czasu. Błędnie uważają przy tym, że podstawową funkcją rodzicielską jest troska o warunki materialne rodziny. Inni zaś nie mają serca do własnych dzieci i wolą godzinami siedzieć przed telewizorem lub przestać pod przysłowiową budką z piwem. W takich przypadkach najczęściej dzieci wychowuje ulica.

Organizacje młodzieżowe (także w przypadku naszego województwa) nie poświęcają należytej uwagi zagadnieniom wychowawczym, zwłaszcza wśród dzieci przysparzających więcej kłopotów. A przecież od nich może także wiele zależeć w tej dziedzinie.

Oparcie się tylko na ludziach dobrej woli nie może wystarczać. Znacznie większą rolę powinny odegrać komitety osiedlowe, przy których są powołane specjalne komisje do spraw dzieci i młodzieży. Ale w praktyce jednak są one martwe. Najczęściej nie posiadają nawet dokładnego rozeznania, w jakich rodzinach występują najpoważniejsze trudności wychowawcze, co więc dopiero mówić o skuteczności ich działania?

Dobra znajomość środowiska, czyli przyczyn wchodzenia dziecka na drogę przestępczą, jest podstawowym warunkiem skuteczności działania. Nie nie zastąpi bezpośredniej wizyty w domu, rozmowy z rodzicami. Tego właśnie brakuje. Tylko niewielu z nas czyni to wiarę dobrze. A przecież danie do zrozumienia rodzicom, że sprawa wychowania ich dzieci nie jest dla innych obojętna, że się obserwuje i ocenia poczynania ojca i matki wobec własnych pociech, ma tu ogromne znaczenie.

Na podobnej zasadzie oparte są akcje organizowane przez szkoły, milicję, poradnię wychowawczą i sąd. Społeczne komisje, wyłaniane spośród pracowników wymienionych instytucji, składają wizyty i badają sytuację domową dzieci przysparzających najwięcej kłopotów wychowawczych lub wchodzących w kolizję z prawem. To jednak nie wystarcza. W innych województwach powołuje się stałe zespoły paruosobowe, złożone przezwaznie z prokuratora, nauczyciela, psychologa, socjologa i kogoś z milicji. Komisje te podejmują rozmowy z rodzicami, wywierają na nich presję moralną, i okazuje się, że jest ona ogromnie skutecznym środkiem zaradczym, bowiem wywierają ją ludzie mający duży prestiż społeczny.

U nas dzieci wymagające wzmożonej opieki wychowawczej pozostawione są przeważnie na łaskę losu, tzn. ludzi dobrej woli — działaczy społecznych. Brakuje zorganizowanych form działania, które — przy naszej niechlubnej statystyce — są wręcz niezbędne dla skuteczniejszej walki z przestępczością nieletnich. (lg)

cha trzepocze i dzwoni. Wczoraj operatorka bała się wyjść z kabiny, bo dachówki leciały na ziemię.

Od dawna czynne są tylko jedne drzwi wyjściowe. Inne zabito deskami dla bezpieczeństwa. Ograniczonego wprowadzie, bo nikt lotem dachówek nie steruje. Sala widowiskowa ładna, przestronna, zacieków mało ale przy większych opadach wynoszono z niej po kilka wiaderek wody. W kasie kina ściany przeżarte grzybem. Intensywny zapach pleśni. W czasie deszczu do środka przenika woda, kapie ze ścian. Na zapleczu podobnie. Nie wiadomo, jakim cudem nie przegniła jeszcze instalacja elektryczna. Ale w każdej chwili można się spodziewać, że ściana zacznie „kopać”. Co kwartał przychodzi komisja, bada, pisze protokół i odchodzi.

Kłeska zimy stulecia dla gmachu okazała się błogosławieństwem losu. Przy okazji likwidowania awarii centralnego ogrzewania wyremontowano kotły, wymieniono grzejniki. Jako dowód rzeczowy pozostawiono rozkute ściany. W kancelarii harmonizuje to idealnie z pęknięciami na sąsiedniej ścianie. W przeciwnym rogu — malowniczy rysunek zacieków i wszędobylski grzyb.

Okazuje się, że nie wystarczy mieć milion osiemset tysięcy. Łatwiej je zdobyć, niż wydać. Ponieważ nikt nie chce się podjąć wykonania w całości kapitalnego remontu, trzeba to robić na raty. Tylko od czego zacząć? Najprościej o usługi malarskie, ale nie ma sensu malować, bo przecieka dach i taras. Taras był poprawiany trzy razy. Bezszytecznie. Ekspert z Białegostoku odradza wprowadzanie tam ludzi, gdyż w każdej chwili groziłoby to zawaleniem.

Dach, stolarka i instalacja elektryczna wymagają natychmiastowej naprawy. Od miesięcy jednak nie można znaleźć wykonawcy. Ani spółdzielnia pracy, ani żadne inne ugrupowanie przedsiębiorstwo nie wchodzi w grę. Po pierwsze — nie zatrudniają wszystkich potrzebnych fachowców, po drugie — są ograniczone przerobem do siedemdziesięciu tysięcy złotych. A sama zmiana dachu kosztuje sześćset tysięcy. Prywatni wykonawcy naprawiliby dach szybko i chętnie, ale by im zapłacić, trzeba mieć limit. Dyrektor prosił o dwa miliony, otrzymał sześćdziesiąt tysięcy. Nie ma o to żalu do Urzędu Miasta i Gminy, który na cały rok otrzymał trzysta tysięcy, a musi obdzielić również innych, pilnie potrzebujących: szpital, szkoły itd. Pozostaje więc tylko w dalszym ciągu czekać na jakiegoś wykonawcę.

Może po ogłoszeniu przetargu podejmie się wykonania zadania ktoś z Białegostoku — kalkuluje dyrektor. — Liczę też bardzo na pomoc władz wojewódzkich.

A gdyby zmienić coś generalnie? Stosunkowo prostym i skutecznym zabiegiem byłoby powołanie wojewódzkiej komisji, kwalifikującej obiekty do remontów. Decyzje tej komisji nie powinny być ograniczane limitami danej jednostki administracyjnej, lecz pilnością potrzeb. W przeciwnym razie nie zapobiegnie się powolnej dewastacji budynków i ogromnym stratom materialnym.

ANNA LEW

w każdej orkiestrze brzmia kulturalnie. Dyrektor musiał powiedzieć sobie: trudno; ale nie zrezygnował całkowicie. Zachciało mu się kapitalnego remontu. Między jedną a drugą imprezą kulturalną wystarczało czasu na załatwienie jakiegoś papierka. Pracownicy zbierali dokumentację kosztorysową i techniczną. Potem gromadził same odmowy remontu: w sumie ma ich już trzynaście. Jeszcze ogłoszenie o przetargu w gazecie i prośba o pomoc Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego, poparta protokołem z okresowego przeglądu budynku i stanowisk pracy inspektora sanitarnego.

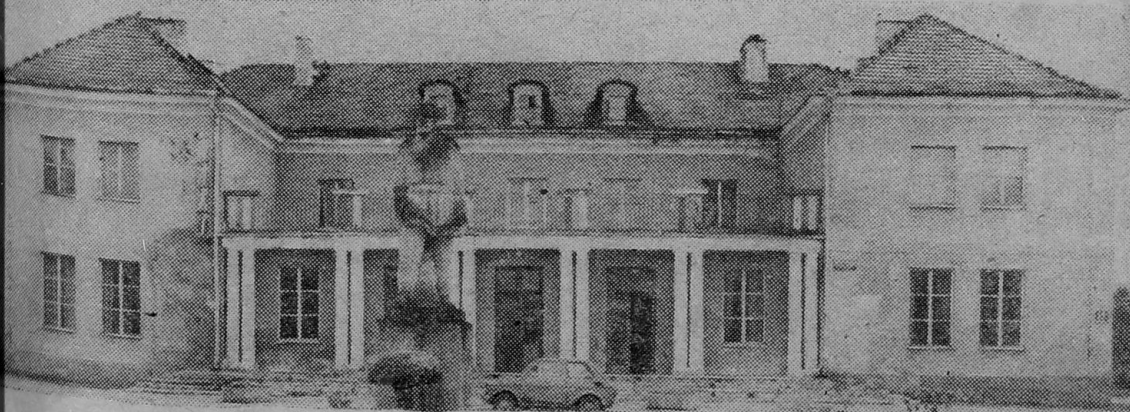
Pracownica kina alarmuje: — Panie dyrektorze, z tym dachem znów się pogorszyło. Wichura zerwała gąsiory, potłukła dachówki. Jakaś bla-



Perspektywę szerokiej ulicy Ludowej zamyka okazały gmach, wsparty na kolumnach w stylu charakterystycznym dla lat pięćdziesiątych naszego stulecia. Miejsko-Gminny Dom Kultury w Wysokiem Mazowieckiem. Tablica pamiątkowa po prawej stronie informuje, że gmach został wzniesiony dzięki czynom społecznym. Dom Kultury rozwija swoją działalność od roku 1960. A więc dwudziestolecie. Nikt tu jednak nie zamierza świętować. Działalność Domu Kultury nie jest rzeczą wstydliwą. Ba, niejeden renomowany orkiestra mógłby mu jej pozazdrościć. W ubiegłym roku, w maju, oddano do użytku muszlę koncertową, jakiej trudno szukać w województwie i dalej. Pięknie położona — w parku, nad stawem — nie tylko zdoła skwe- rek, ale prawie co soboty rozbrzmiewa programem estradowo-koncertowym. Zakłady pracy też włączają się od czasu do czasu, by wesprzeć działalność Domu Kultury. Przynajmniej finansowo. Młodzież, jak wszędzie, tęskni za dyskotekami. Szaleć może jednak tylko po długim, kulturalnym treningu, na wieczorkach tanecznych, przy orkiestrze i programie oświatowo-rozrywkowym.

Dzieci na razie hasają w zespole tanecznym i nie protestują przeciw pięknym tańcom kurpiowskim. Inne muzykują w Społecznym Ognisku Muzycznym. Niestety, nie dla wszystkich wystarczyło miejsca, ale można jeszcze recytować lub przasć. Taką nawet przedszkolaki. „Promieniowanie” kulturalne obejmuje nie tylko gród, ale i dwanaście okolicznych gmin. Dyrektor Stanisław Borzuchowski i czwórka instruktorów mają pełne ręce roboty oraz poważne zadanie: utrzymać tradycje ludowe na wsi polskiej, która, co by tu nie powiedzieć, woli obecnie myśleć o wielkiej cywilizacji: słomianą strzechę zastępuje eternitem, a angielski kryminal przedkłada nad kapelę ludową. Rejon Wysokiego Mazowieckiego stanowić może imponujący wyjątek: czternaście orkiestr weselnych, pięć ludowych i solistów instrumentalni. Kobiety są wierne tkactwu, hafciarstwu i kornkarstwu. Artystycznymi tkaninami słynie z dziesięć wiosek. Jest także rzeźbiarz, śpiewak, gawędziarz i poeta ludowy. Z takimi siłami łatwo można by zorganizować piękną uroczystość z graniem, śpiewaniem i recytacją, łatwo ją upamiętnić rzeźbą lub wierszem. Cały kłopot w tym, że nie ma gdzie podejmować gości. Gmach Domu Kultury ma wprawdzie 1300 metrów kwadratowych powierzchni, ale blisko połowę zajmują kino, wykorzystywane także jako sala widowiskowa. W kilku pomieszczeniach rozłożyła swoje woluminy Miejsko-Gminna Biblioteka. Dom Kultury dusi się w paru małych pokojach biurowych, jednej (większej) salce na gorze i sali kawiarnianej na dole. O całość budynku troszczy się gospodarz, dyrektor Borzuchowski.

Obejmując to stanowisko w roku 1975 zaplanował śmiało rozbudowę. Potrzeba było na to cztery do pięciu milionów. Kiedy plan dostał się w fachowe ręce, dorzucono do niego kotłownię, bez której ani rusz. Koszty wzrosły do dziesięciu milionów. Jak na inwestycję kulturalną — było to jednak za dużo. Kotły nie



jak wydać pieniądze

punkt widzenia

niu przez Prezydium Miejsko-Gminnej Rady Narodowej. Jest we wsi podsołtys. Możecie windować go na sołtysa.

— On mieszka na kolonii. Za daleko ode wsi — zawołało kilku spod ścian.

— Panie, co pan pierdoli — rozpoczął swoje komentarze pan Henio.

— Ciszej, ciszej — uspokajali go sąsiedzi, a niektórzy ironicznie pytali: — Gdzie tak zapuścił plug? Przecież jeszcze nie orze?

— A właśnie że już orze — na przekór odpowiadał pan Henio.

Z sali padły propozycje kandydatów na członków komisji wyborczej: Stanisława Wilczyńskiego, Marciego Krajewskiego i Eugeniusza Saniewskiego. Pan Henio pierwszy podnosił tapę. Komisja przystąpiła do urzędowania.

— Siadajcie, panowie, przy stole — zachęcił naczelnik.

Krajewski o stół się nie oparł, bo wiedział, że w każdej chwili może runąć. Ktoś ostrzegł także naczelnika, ale ten zdawał się tego nie dostrzegać. Wilczyński siadł na starym radiu, Krajewski — na skrzypiącym krześle; wszyscy w bezpiecznej odległości od stołu.

Zapadło milczenie. W Cieciorkach zawsze było tak, że kandydatura na sołtysa padała tylko jedna. Zostawał nim zawsze ten sam człowiek, obdarzony największym zaufaniem wsi, wybrany dożywotnio. Teraz, gdy cieciorcowanie stało przed problemem sprzed dwudziestu lat, ich zastanowienie pogłębiło się. Niektóre głowy zwracały się ku sobie i ku sieni, to znów na ławę.

Naczelnik rozumie to skupienie. Uważa, że Modzelewski zrobił w Cieciorkach, co mógł. Może tylko to miały mu za nietakt, że za mało przyjeżdżał do Urzędu, bo wiesz problemom ma niemało. Więc teraz, przy wyborach, dodał mimochodem, że musi to być ktoś, kto w miarę często będzie go w Zambrowie odwiedzał.

Podniósł rękę Modziuk. Wszyscy czekali na ten znak. Wybrał Henryka Leśniewskiego. Wszyscy opowiedzieli się za Leśniewskim jednomyślnie. Pan Henio z niedowierzaniem spoglądał po sali. Wprawdzie padło jego imię i nazwisko, ale nie o niego chodziło. On jest traktorzystą w ZUM-ie w Wiśniewie; kandydat jest przodującym gospodarzem. W Cieciorkach najczęściej jest Leśniewskich, choć nazwa wsi pochodzi prawdopodobnie od Ciecierskich, których tu również jest dużo. „Wywodzi się od zasciankowej szlachty — przy wielichu nieraz mawiają Ciecierscy, i Leśniewscy.”

Głos zabrał naczelnik: — W waszej wsi ludzie są bardzo grzeczni. Dobrze się stało, że wybraliście jednomyślnie.

— A mogło być inaczej? — wtrąca pan Henio.

— Jestem przekonany — kontynuował swą wypowiedź naczelnik — że Prezydium zatwierdzi waszą kandydaturę. Wiem, jaki autorytet ma u was ten człowiek. Pieczętka i szpargały przekaże, w imieniu ustępującego, pan Jambrzykowski, zięć po-

kłosa zaglądają na podwórkę

STANISŁAW ZIELIŃSKI

przedniego sołtysa. Zapraszam do nas pana Leśniewskiego na krótkie przeszkolenie, dotyczące sposobu prowadzenia dokumentów.

Ważna sprawa została załatwiona: jest nowy sołtys, — również fajny chłop — szepotali pomiędzy sobą zebrani. — Ale roboty będzie miał dosyć. Zniwa ciężkie idą.

Temu problemowi poświęcono drugą część zebrania. — Z dniem dzisiejszym — powiedział naczelnik — we wsiach naszej gminy rozpoczynają się zebrania poświęcone zbiorowi plodów rolnych i drugiego pokosu siana. Sytuację mamy bardzo trudną. Zboża w 60—70 proc. wyległy. Znaczna część plantacji została podtopiona. Na sprzęt żniwny z SKR-u możecie liczyć tylko w pewnym stopniu. Moja osobista do was, panowie, prosba: abyście rozpatrzyli wszystkie możliwości użycia własnego sprzętu i udzielenia sobie dobrosąsiedzkiej pomocy.

W uszach cieciorcowian słowa te wcale nie brzmiały optymistycznie. Nie wszyscy posiadają własny sprzęt. Jeden kombajn w Zakładzie Usług Mechanizacyjnych przypada na siedem wsi. Ale czy można będzie wjechać nim na pole? W Ładach, na przykład, gлина siedzi na glinie, że i pustym wozem przetoczyć się trudno. Nie ma nawet mowy o snopowiązałce.

— Gdy pójdzie ciepło — pocieszała się najmłodsza — to wszystko jakoś obesznie.

— W radiu mówili — dodał ktoś ze stojących w sieni — że takiego lata nie było od 240 lat.

Józef Jambrzykowski, najmłodszy gospodarz we wsi: siedemnaście ogonów na dziesięciu hektarach. Siedzi nie raz próbował dociec tajemnic stylu jego gospodarowania, ale kończyło się zdawkowym zda-

niem: „Ten to potrafi”. Józef Jambrzykowski to zyczliwy chłopak. Chętnie służy sąsiedzka pomocą.

— Żyję z nim, jak z rodzonym bratem — mówi o nim Tadeusz Ciecierski. — Naszych zagrod nie oddziela nawet płot. Lecz chętnie pozbyłbym się ze swego pola grodziska, bo ani to pożytek z tego, ani satysfakcja. Przyjechali, odkryli i twierdzą, że to niby wielkie cudo. A teraz zjeżdżają wycieczki i niegrzeczna młodzież z miasta rozkrada mi kagańce na krowie pyski.

Naczelnik zalecił w swoim wystąpieniu oszczędność pasz, nawozów i plonów. Zboża jare, które stoją w wodzie lub grozi im zgnicie, radził brać na kłoszonki i nie czekać, aż dojrzeją. Apelował o oszczędność ziemniaków.

— Cholera — kręcił głową Gawkowski. — Sypią się te problemy jeden za drugim. Mięsa mniej więcej jem tyle samo, co kiedyś, a jak kupię kosę, to w rękach mi się wygina.

— I mnie też, i mnie też — dołączyło się do niego kilku z sieni.

POM zgłosił akces pracy do dwudziestej — kontynuował swą wypowiedź naczelnik. — Pogotowie techniczne będzie czynne całą dobę. Okonem staje nam tylko białostocka „Agroma”. Magazyny otworzy tylko do godziny piętnastej.

— Bez magazynów ani rusz — podniósł się głos z sali. — Toż zboże gdzieś wysuszyć trzeba, a wilgotność ziarna sięga do dwudziestu procent. Może uda się nam dogadać z kombinatem w Grądach. Posiada wprawdzie magazyny do suszenia pasz, ale zboża też można by tam nasycać.

Kierownik Zakładu Usług Mechanizacyjnych w Wiśniewie, Zygmunt Wyrzykowski, jest zdania, że suszarnie powinny być u nas zja-

wiskiem tak powszechnym, jak zwózka zboża do stodoł. Należałoby tym pomyśleć już wtedy, gdy do przętu żniwnego zaczęliśmy na roką skalę wliczać kombajny. Przypuszcza on, że w tym roku poziom suszenia ziarna będzie chyba najdotkliwszy.

— W jego bazie — poinformował mnie jeden z rolników — sprzęt już gotowy do akcji, poza jednym kombajnem, na którego naprawę czeka w zambrowskim POM-ie ponad rok.

Słowa te w zupełności pokrzyły się z prawdą. Szef ZUM-u licząc tę pełnią przez czternaście lat, każdym miejscu widać tam gołdarską rękę. Jednakże boi się zająć żniw. Nie ma żadnej pewności, że sprzęt będzie sprawny, jest on (zwłaszcza snopowiązałki) bardzo dużym stopniu wyeksploatowany. A czy może liczyć na szybką pomoc POM-u, jeśli drobna cząstka kombajnu naprawiają ponad drugi — równie solidny i przetrwający terminów — POM jest Siemiatyczach; kosiarkę remontują już od 1978 roku!

Najlepiej — powiedział mi gorzeczony Zygmunt Wyrzykowski — byłoby na czas żniw złamać głę i pójść do szpitala, bo w takim wypadku dostanę trochę jakiegś nerwicy. Znowu będą się rzyć od samego rana kolejni drzwia do biura i przekrzykiwać do mnie, do mnie, panie. Ta wdowa z dziećmi, ten zupełnie młoty, ten znów schorowany, bądź mądry, człowieku, i każde obszty, jeśli sprzętu nie staje taki okres, kiedy wnioskowałem nowe snopowiązałki. W WZKR-u wiedzieli mi, abym pozbywał tych maszyn i przedstawiał na kombajnami. Nie wiem, jak ma wydawać takie decyzje. Pogoda pogoda i ma prawo grymasić.

Obawy rolników z Cieciorok, więc, zupełnie słuszne i słuszna daje się rada naczelnika, by ważne liczyli na siebie i w sprzęt. Lecz gdzie jest tu usługa funkcja SKR-u?

Cieciorcowanie niewiele wiecaili na zebraniu, to problemowi uwagi. Wiedza ze ich rozważania nie nie Korzystali więc z okazji spotkania z naczelnikiem, Zygmuntem iym, i podjęli różnorodne problemy dotyczące każdego z nich z jak i całej wsi.

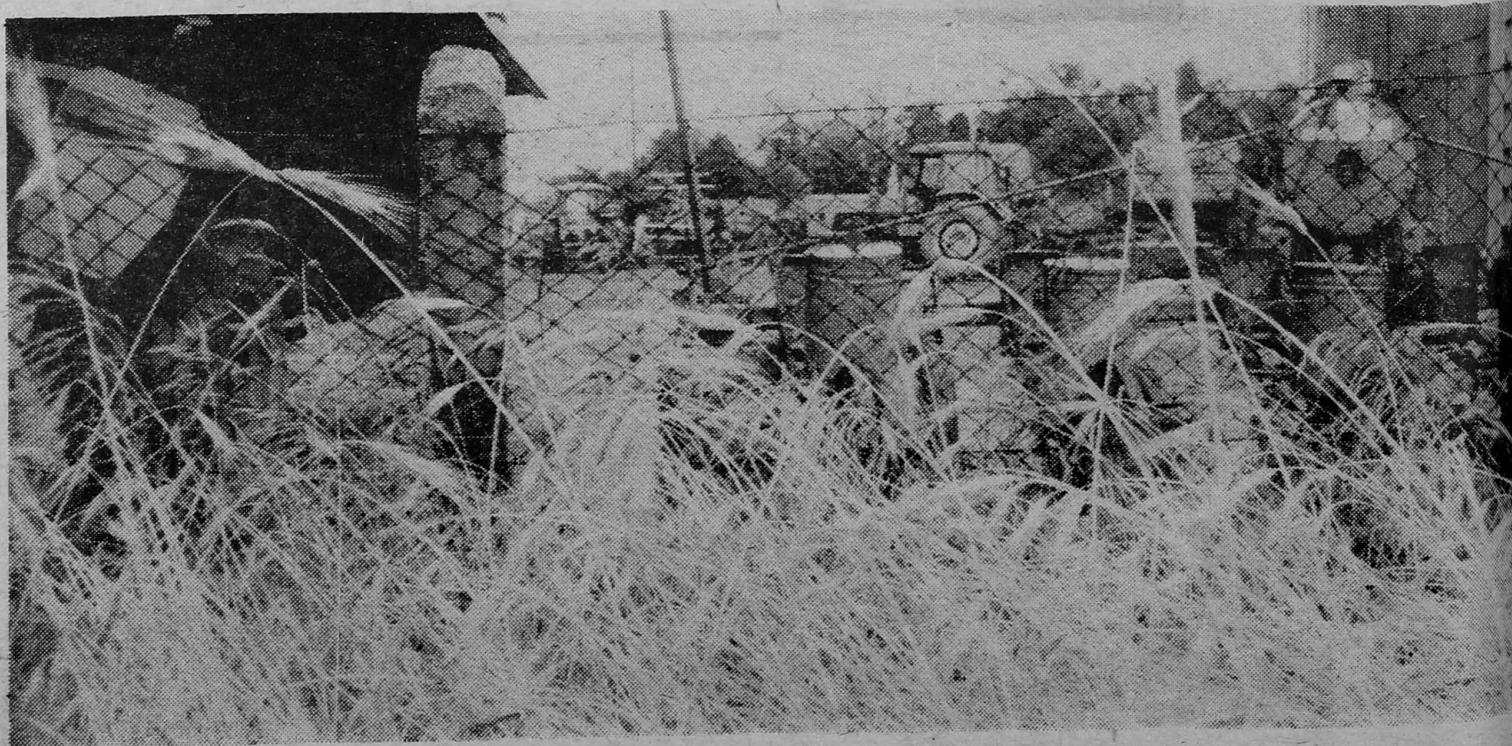
— Ło, ja by te galezi przy ściał — powiedział Stanisław Ciecierski — ale jeszcze mnie kłóskarży, że nie swoje ścinam.

— Jak przeszkadzają, to niech na, tylko niech z tą kobietą, na rejs polu te drzewa rosną, usz

— Gol, Stasiu, gol jak mój dziej, bo to wdowa! — od śmiała zatrząsa się cała sala.

Ciecierski zafrasował się, pał za uchem, i jakby chciał dać naczelnika, czy za bardzo go nie żartuje, wykrztusił: — ra, to ja te galezie pościnał, jak już tu jestem, to mam jedno prośbę: to ten mostek. Ja

rolnictwo - wiedza - postęp



Fot. Gabor Lőrinczy

Kiedyś było to miasteczko. Ruchliwe, barwne i zawsze na dorobku. Ludzie żyli tu z małych interesów i z innych ludzi. W każdym domu na rynku był sklepik, a za ladą kupiec, który wiedział lepiej i widział dalej. Ale żaden z nich nie sięgnął wzrokiem roku 1943. Z trzech tysięcy ludności, która żyła tu przed wojną, zostało 700 osób. Po zamordowanych otrzymali w spadku drewniane rudery, określające charakter zabudowy, i trochę wspomnień. Obciążają one dotąd ludzką świadomość, a niekiedy stanowią swoistą miarę dla ocen zdarzeń współczesnych. Historia prowadzi tu pod rękę dzień bieżący, jak wszędzie tam, gdzie dzieje się niewiele.

Do Gminy Zaręby Kościelne jedzie się przez Zambrów i Czyżewo — najpierw szosą, potem kocimi łbami, potem zwirowaną drogą. Rzadko napotkać można jakiś pojazd. Gmina leży na skraju województwa łomżyńskiego, adaptowana została pięć lat temu z warszawskiego, ale jej sytuacja nie uległa, jak się zdaje, radykalnej odmianie. Może zadczydowało niewygodne, skrajne położenie, może trudność przezwyciężenia dziesiątków lat stagnacji, może coraz bardziej skrupulatny rachunek rentowności inwestycji.

Przy wjeździe do osiedla — dwa piętrowe, murowane budynki: z lewej strony szosy posterunek MO, z prawej Urząd Gminy, gminna organizacja partyjna i poczta. Tuż obok murowany barak — miejsce zamieszkania kilku rodzin. Standard, wielkość i rozkład lokali takie same. Kilkumetrowa kuchnia, kilkunastometrowy pokój. Na zapleczu baraku drewniana, cuchnąca buda — klozet, z którego nikt nie korzysta. Na podwórku od strony drogi pompa do czerpania wody.

W końcu kwietnia tego roku w baraku zwolniło się jedno mieszkanie. Dzień przed pierwszym maja Marianna Kośnik, kasjerka poczty, wybiła szybę do pokoju, a Zofia Siudaj, kierowniczką Gminnego Ośrodka Propagandy i Wychowania, szybę do kuchni, stawiając miejscowe władze przed faktem dokonanym, acz skomplikowanym. Kasjerka wejście do kuchni zastawiła szafą, w związku z czym opuszcza teraz swój lokal drogą niekonwencjonalną — przez okno. Kierowniczką ma wprowadzić do dyspozycji drzwi, ale gnieździć się musi z mężem w pomieszczeniu nie większym niż łazienka w starych wielkomiejskich czynszówkach. Siudaj jest w sytuacji lepszej formalnie, bo na mieszkanie otrzymała przydział. Kośnik w sytuacji korzystniejszej moralnie, bo sama wychowuje dwoje małych dzieci. Ten drobny, acz znaczący incydent sprowadził ranie do Gminy Zaręby Kościelne.

Sekretarz Gminy, Jadwiga Gierakowska, uśmiecha się znad maszyny do pisania. Nie zakazuje jej temat rozmowy, bo cóż innego mogłoby tu sprowadzić dziennikarza. Pod tym uśmiechem drugi uśmiech, trochę smutny, życzliwy i zatroskany.

— Był tu wczoraj ktoś z województwa. Incydent stał się głośny. Jedną z tych kobiet musi opuścić lokal. Pytanie: która? Kośnik rozeszła się dwa lata temu z mężem, nałogowym alkoholikiem. Mieszkali przedtem w fatalnych warunkach. Czy można ją z małymi dziećmi wyrzucić na ulicę? Siudaj korzystała z gościny teściowej. Pokłóciły się. To także należy zrozumieć. Nie mamy, niestety, lokali zastępczych. Nie mamy żadnych wolnych pomieszczeń. Kiedy do GS-u dostarczą trochę cementu i materiałów budowlanych, kolejkę ustawiają się w nocy. Pierwszeństwo mają hodowcy i gospodarze z okolicznych wiosek. Z państwowych obiektów chybą tylko budowa ośrodka zdrowia zostanie kiedyś ukończona. W tej chwili mieści się w prywatnym budynku. Zatrudniamy jednego lekarza. W całej gminie nie ma stomatologa. Cóż im możemy ofiaro-

wać. Kilku zarębiaków ukończyło nawet studia medyczne, ale żaden nie wrócił. Kto wyjechał — na ogół nie wraca. Jedynie pisarz z Warszawy, urodzony tu i wychowany, wybudował sobie dom i czasem nas odwiedza. Pisarze są bardziej sentymentalni.

Większość ludzi dojeżdża stąd do pracy w okolicznych miastach i mają takie poczucie, że skoro są pracownikami, to należy im się mieszkanie. Niektórzy sami postawili domy, ale to było dawno. Około sześćdziesięciu rodzin systematycznie szturmuje Gminę. Wnoszą podania, czekają: na czyjś wyjazd, czyjąś śmierć, na budowę nowego baraku. Po reformie było dużo narad i województwo okazało nam życzliwość. W tych warunkach komunikacyjnych trudno cokolwiek egzekwować. Autobus do Łomży jest jeden na dobę. Żeby załatwić najmniejszy drobiazg, trzeba na dojazdy stracić cały dzień. Można powiedzieć, że jest to życzliwość daleka, choć odległa tylko o 62 kilometry. Więc tak sobie ludzie marzą: jeszcze z jednym autobusem, jeszcze z dwoma domami.

— A pani o czym marzy?

— Urodziłam się tu i zostałam. Dwadzieścia osiem lat pracy w administracji. Na marzenia nie ma czasu. W tych wszystkich kłopotach udało nam się naczelnik. Był kiedyś

ców Zaręb i okolic. Patronował spółdzielni sam Stanisław Wojciechowski, późniejszy prezydent Polski. Uczestnikiem był Maksymilian Małinowski, redaktor „Zarania”. Organizatorem — ksiądz Sawicki. Pierwszy spółdzielczy sklepik mieścił się w budynku przykościelnym. To była jakby odpowiedź na lichwiarskie ceny, dyktowane przez prywatną inicjatywę. W roku 1921 Spółdzielnia została filią „Rolnika”. Jej upadek zaczął się osiem lat później, w okresie ogólnego kryzysu gospodarczego. Mienie i towary sprzedano prywatnym nabywcom. Idea spółdzielczości odrodziła się dopiero w roku 1946. Powstała Spółdzielnia „Zarębiana”, rok później przemianowana na Gminną Spółdzielnię „Samopomoc Chłopska”.

Zaraz po wojnie było tu, owszem, ożywienie. Mieliliśmy klub w barakach i działania były bardziej naturalne, nie wymuszone. Młodzież wystawiała sztuki. Pamiętam nawet tytuły: „Miłość partyzanta”, „Bądź mi wierną”, „Ożenek”. Jeździła z tym teatrem po wsiach. Większy był w ludziach pęd, żeby coś dobrego zrobić.

Lubię czasem obejrzeć się wstecz, za siebie. Widzę, jakby to było dziś, przedwojenne miasteczko, biedne, ale żyjące. Te sklepiki, ten mały handel. Było dziesięciu masarzy Żydów i pięciu Polaków. Żydzi u

Majewski. Majewski już umarł, jego żona nie lubi o tym wspominać. Były tam podobno takie sceny. Niemcy przyszli do ich domu, wódkę, bawili się, a tam na ścianie zamurowana w piwnicy, siedziała żydowska rodzina.

Po wojnie ludzie zaczęli zapaść w pożądowskie domy. Budowa własnych była utrudniona. Zostały place, ale nie wiadomo było, komu należały. Nie zgłaszali się spadkobiercy zamordowanych, ale przecież mogli się zgłosić. Po jakimś czasie bardziej energiczni zaczęli budować na dziko i nikt ich nie suwał. Sam pobudowałem się w ten sposób. Ta dzikość działań została już w ludziach jako niepisane prawo. Więcej było takich, jak ta Siudaj i Kośnik. Włamywali się do pustych mieszkań, wybijali drzwi, i nikt się nie dziwił. To ta część naszej historii, ale o niej nie wybiera sobie spadkobiercy.

Jak się obrócić do tyłu, to zawsze było tu biednie, ale duchowo bogatszy. Teraz każdy patrzy przed siebie, żeby jakoś przeżyć. Jeden dorabia, drugi tyle, co dociągnie do pierwszego. Ze dwie trzecie dojeżdża do pracy w Ostrowi, w Zambrowie, w Warszawie nawet. Hula przy domu świnie, kury, i jaleci. Dosypiają w pociągach, w PKS-ach; praca się wydłuża o te dojazdy, odpoczynek krótki.



dyrektorem szkoły w Szulborze. Rozumie nasze problemy i nikomu nie chce szkodzić. To chyba w dzisiejszych czasach najważniejsze. Dlatego tak trudno mu podjąć decyzję, która z tych dwu kobiet ma opuścić mieszkanie.

Można ten incydent potraktować krótko — mówi Prezes GS-u, Jerzy Rajchembach. — Dwie rodziny, jedno mieszkanie, trochę śmieszne, trochę smutne. Według mnie, należałoby lepiej się nad tym szerzej zastanowić: dlaczego się to przydarzyło właśnie u nas. Bo co to są właściciele te Zaręby Kościelne? Czy one mają swoją godność? Czy one mają swoją historię? Czy to takie sobie pierwsze z brzegu osiedle, że nie warto nawet splunąć?

Rozmawiamy w prywatnym mieszkaniu prezesa. Nieduży murowany dom, w głębi ogródek, trochę warzyw, trochę kwiatów.

— Zaręby mają dwie historie. Jedną, która ludzi ożywiała, pobudzała do myślenia i działania; drugą tragiczną i okrutną. I one obie wplotły się tu w ludzkie charaktery. Nie mamy dokumentów, ale została żywa pamięć. W roku 1905/6 powstała tu spółdzielnia spożywców „Spółka”. Na zebranie w rezydencji klasztornej przyszło stu mieszkań-

Polaków nie kupowali ze względów religijnych, ale niektórzy młodzi, taki np. Garbiuk, co miał rozlewacznice wód gazowych, taki Goldberg, co handlował zbożem, przylatywali do mego ojca zjeść sobie dobrej kiełbasy. Każdy się modlił do innego Boga, ale los człowieka był podobny; jeden żył obok drugiego i dzięki drugiemu. Przed samą już wojną zaczęły się incydenty, zagladali czasem bojówkarze, ale oni byli z importu. Znałem tu wszystkich. Pamiętam twarze, imiona, nazwiska, kto czym handlował i z czego żył.

Niemcy, jak wkroczyli, założyli posterunek. A potem nastąpił taki dzień, jesienią, że ludność polskiej nakazali szykować wozy i konie, a ludność żydowskiej — pakować rzeczy. Powiedzieli, że wiozą ich do getta w Czyżewie, ale zawieźli tylko do szkoły w Szulborzu. Był tam las i rów przeciwczołgowy. Jeden chłopak pał w pobliżu krowy i opowiadał potem, że jak ich rozstrzelali, to cała ziemia jęczała. Kilku nie dobitych przeczołgało się z tego rowu do lasu. Nie wiem, kto to był.

W Zarębach przechowywała się jedna dziewczyna, która wyszła za Polaka, i rodzina Grynszpanów. Ten Grynszpan był u nas właścicielem młyna, a przechował go gospodarz

Jako prezes GS-u ja bym się zyczyl, żeby stanął u nas wreszcie ten pawilon handlowy. Dokumentacja, owszem, jest na dziesięć milionów złotych, ale budowa ciągle się przesuwą z jednej pięciolatki na drugą. Chciałbym, żeby tu było więcej ruchu, życia; jakieś przedzienie.

W sprawie tej Siudaj i Kośnik mam, oczywiście, pogląd, ale nim dyskutuję.

— Według mnie — ożywia nieoczekiwanie żona prezesa — Kośnikowa niepotrzebnie przesłała męża. Pijak to on jest, ale trzeba umieć wybaczyc. — I za ten uśmiechem kryje jakaś myśl, dopowiedziana.

Ma pan całkiem niezły pogląd. — Wiesław Przesnycki ciąga obie dłonie. — Żyjących spadków, żadnych pieniężnych, pomoc ojca w sensie zeznym. Zaczęliśmy budowę w roku 1958. Po czterech latach weszliśmy do domu. Kanalizacja i detale zakładałem później.

Siedzimy w dużym pokoju, który spełnia tu funkcję salonu i jadalni. Przesnycki wrócił właśnie z Zakładach Azbestowo-Cementowych w Małkini. Żona przyniosła obrusem lakierowany stół, talerz zupy owocowej; z

penetracje

MARTA
MIKLASZEWSKA

pokaż m

Raz jeszcze mijam murowany barak. Jest cichy i uśpiony. Nie widać w pobliżu żadnego zaparkowanego samochodu. Kochanek z formidm dziś chyba nie przyjechał.

Adam nie po raz pierwszy wysiadał na peronie tej stacji. Od dzieciństwa zakochany był w Helu, gdzie Polska stawała się morzem i kończył się horyzont ziemi. Lipiec był upalny, słońce łuszczyło się w falach, chmurki biegły po niebie szybko, niepostrzeżenie, rozpraszając po ziemi plamy cienia i ochłody.

Adam włożył plecak i skierował się na skraj osiedla, gdzie u rybaka mieszkał ojciec. Gdy wszedł, wszyscy siadali do stołu. Po zupie rybnej podano fladry wędzone, jeszcze ciepłe. Adam patrzył na opaloną twarz ojca i cieszył się, że tak dobrze wygląda. On też zmędział, jak powiedziała gospodyni, był do ojca podobny.

— Odpocznij i pójdziemy się kąpać.

Położył się na szerokim łóżku z poduszkami i usnął. Równie gwałtownie się obudził. Ojciec stał nad nim i wskazywał na słońce, które oparło się o brzeg morza.

— Teraz jest woda najcieplejsza, chodźmy.

Plaża była nie dalej, jak sto metrów od chaty. Biel piasku kontrastowała z szarym odcieniem wody. Rozebrali się i wbiegli do wody — chłodnej i przeźroczystej.

— Rano przychodzi do nas kapać się Łacka. Czasami wieczorem zagląda na brydża. Nie jest sama, lecz lubi nasze towarzystwo. Od września zaczyna wykłady w Warszawie.

Adam popłynął. Nie był to temat do rozmowy z ojcem. Zwrot „nie jest sama” utkwił mu w pamięci boleśnie. Mogło to nic nie znaczyć, mogło znaczyć wszystko. Nawet ten nagły wyjazd do Warszawy. Tylko po co zjawiała się tutaj i jeszcze go o tym uprzedziła? Poczuli chłód, skierował się do brzegu. Ojciec wycierał się szorstkim ręcznikiem; rzucił mu drugi.

— Matka twoja też lubiła się kąpać. Nie wiem, skąd przyplątały się do niej te suchoty, umarła bardzo szybko.

— Nigdy ojciec nie myślał o żeniaczce?

— Właściwie nie. Mamy przecież dobrą gospodynię. Zaczęła pracować u nas jeszcze przy matce. Przyzwyczaiła się do nas, a my do niej.

— Kobietom samotnie żyć trudniej.

— To zależy jak się kto urządzi.

Nawyk staje się drugą naturą. Zawsze żartujemy z doktorem Marcinkowskim, że nic nie zastąpi kawalerskiego stanu.

— Zwiążesz się z kimś młodem pielęgniarce?

— Plotki Ireny. Nigdy nie lubiłem tej dziewczyny.

— Zośka jest w twoim guście?

— Przedzej. Uczciwa. Może się na tobie zawieść, ale nie ty na niej.

— Tak źle mnie osądzasz?

— Ani źle, ani dobrze. Jesteś, jaki jesteś.

Ubrali się i wracali do domu. Słońce czerwieniło się i gasło w zmierzchu.

— Myślisz nadal o prawie?

— Chcę być jak najbardziej samodzielnym, nie podlegać nikomu.

— Tak się tylko wydaje. Adwokat to nie zawód, lecz sposób bycia.

Przedtem jest aplikantura. Każde społeczeństwo jest zdeterminowane własną organizacją. Bunt również kończy się na posłuszeństwie. Jeszcze jakim?

— Nie jest to filozofia mojego wieku.

— Mogę wiedzieć, jaka jest ta twoja filozofia?

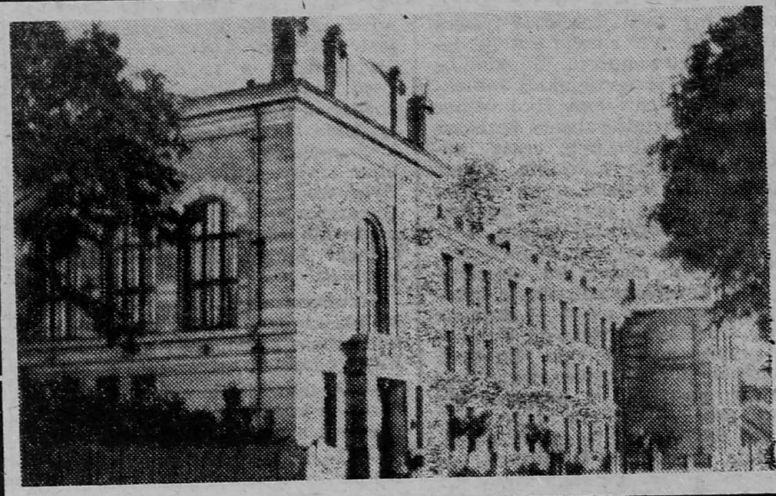
— Szukam, ojciec. Najbliżej jestem socjalizmu i jego naukowych przesłanek.

— Pozory nauki i pozory wolności. Nie ma prawd jednoznacznych i nie ma jednoznacznego socjalizmu. Im dalej w las, tym więcej drzew.

— A jednak faszyzm Mussoliniego jest jednoznaczny i w sposób jednoznaczny należy mu się przeciwstawić.

— Oto i nasz dom. Jeżeli się nie mylę, pani Łacka wpadła na brydża.

Wyglądała ładnie, opalona i wypoczęta. Mówiła dużo i pobieżnie.



Pozwoliła się Adamowi pocałować w obie ręce, i nim podano herbatę — usiedli do kart. Gospodarze byli doskonałymi brydżystami. Adamowi pozostawało tylko kibikowanie. Chwilami przechwytywał jej spojrzenie i kilka uwag na swój temat.

— Odprowadź mnie — powiedziała na zakończenie partyjki.

Noc była bezkieszykowa i prawie ciemna. Matowe morze dawało znać o sobie bezkresnym szumem.

— Weź mnie pod rękę, mogę spaść.

Przytuliła się. Zapytała, co robił dotychczas, co przeczytał.

— Pracowałem w polu.

— Rozebrała się.

— Myślałaś czasami o mnie?

— Nie odpowiedział.

Mieszkała po drugiej stronie portu, w domu rybaka. Musiał pochylić się, by przejść próg, tak niska była futryna drzwi. Maria odszukała kontakt i zapaliła światło. W pokoju było łóżko, dwa krzesła,

- Nie było nikogo.
- Od czasu, gdy tu ty jesteś.
- A przedtem?
- Mój narzeczon.

Wstał, otworzył drzwi i wyszedł. Biegł przez noc, aż upadł na brzegu morza, zanurzył twarz w dłońiach i płakał, jak skrzywdzone dziecko. Kiedy wrócił do domu, był już spokojny.

Maria Łacka przyszła w dwa dni później. Z gospodarzami i ojcem usiadła do brydża. Znowu poprosiła o odprowadzenie jej do domu. Cisza milczenia towarzyszyła ich krokom. Po drugiej stronie portu weszli do chaty rybaka. Nie zapaliła światła, tylko zdjęła kapę z łóżka. Rozbierała się powoli, jakby nikt nie był w pokoju. Plecy i biodra miała białe. Zrzuciła z siebie ubranie i upadła z nią na łóżko. Był bezradny, aż dotknęła go ręką. I wtedy usłyszał jej krzyk, jak wówczas we śnie.

Rok szkolny zaczął się tradycyj-

WŁODZIMIERZ SOKORSKI

ZOSTAĆ SOBA

ławka, stół i kilka świętych obrazów, osłoniętych mrokiem, pułapu. Milczeli.

Dopiero po chwili odezwała się Łacka: — Stałeś się obcy.

— Jestem zaskoczony bliskością.

— Moją, czy tego łóżka?

— Uśmiechnęła się nieco smutnie.

— Twój ojciec powiedział mi kiedyś, że bywam uroczyście, jak madonna.

— Ale ty wiesz najlepiej, że to nieprawda.

— We śnie byłeś dla mnie westalką. Tańczyłaś u podnóża świątyni, otoczona tłumem. Nie spuszczała z ciebie wzroku: brodacze, chorzy, trędowaci, a gdy zrzuciłaś szaty i ukazałaś się naga, tłum rzucił się w twoją stronę i usłyszałem krzyk, przeraźliwy krzyk tego pustkowi, w którym odbywało się nabożeństwo.

— Gdzie byłeś ty?

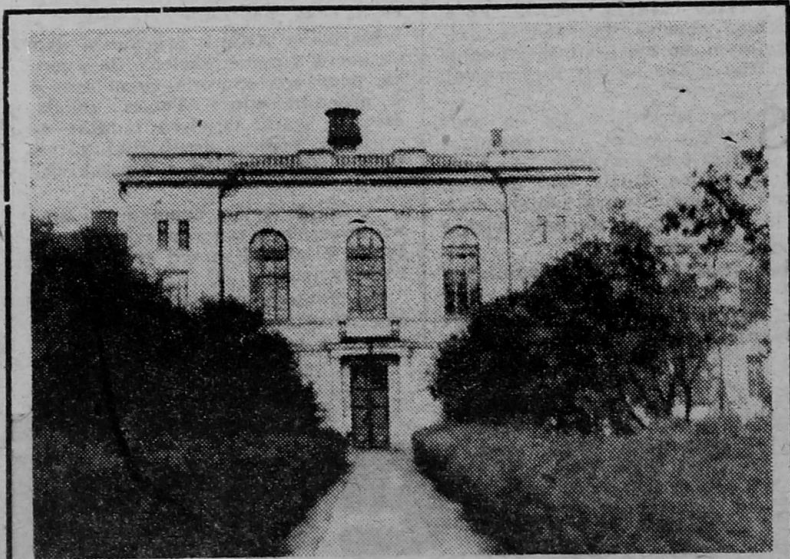
— Nigdzie. Może w tym krzyku, może w tobie.

— Jesteś nieznosny.

7

nie: aula, przemówienia, zabawa. Maria Łacka, mimo zaproszenia, nie przyjechała. Zastąpił ją nowy lacinik, wysoki, chudy; nie wyglądał przekonująco. Królową balu wybrano Irenę, która imponowała modnym uczesaniem i paryskimi ciuchami. Brakowało Staszka Szymkowiaka i jego kolegów. Wrzesień był miesiącem przyjęć na uniwersytecie i studenci zaszczycali bale uczniowskie dopiero w okolicach Sylwestra.

Adam wrócił opalony, w dobrym humorze. Z Zochą tańczył niewiele,



częściej z Ireną, smutną i zamyśloną. Powiedziała mu podczas tego wyjazdu do Paryża zakończył kłopoty. Marcina spisała na straty.

Pierwsze spotkanie kółka odbyło się u posła Czarneckiego, który wygłosił referat na temat kryzysu politycznego w Polsce. Uratować sytuację mógł tylko Komendant, który wyraźnie kokietował lewicę. Kiedy Czarnecki skończył, lewicy długie milczenie. Gra w warcaby, jak to określił Steporski, interesowała tylko tych, którzy grają. Warszawa była daleko, rok szkolny blisko. Nie leżało zabierać się do roboty.

Wychodząc z zebrania Zocha podsunęła myśl, by wykorzystywać dalszych spotkań mieszkanie Hryniewicza, wuja Szymkowiaka; mniej kłopotliwe i mniej zobowiązujące.

Adam odprowadził Zochę na stację i nawet wpadł do niej. Ich stosunki na tyle się ustabilizowały, że niejednokrotnie mówili o wspólnym zamieszaniu w Warszawie. Nie rozważali projektu małżeństwa, kontakt koleżeńskich wydawał im się naturalny i wystarczający. Zocha blisko rok nie chodziła do sportu, chociaż na swój sposób nadal była wierząca.

Nie minął miesiąc od rozpoczęcia roku, gdy Irenę Marcinkowską usłyszano ze szkoły. Podobno stwierdzono u niej ciążę. Miasteczko wrzało. Młodzież szeptała po kątach, dorośli mówili głośno. Nagłoby Włodek wzruszał ramionami i mało brakowało, by Włodek Talmak nie dostał po mordzie. Adam postanowił odwiedzić Irenę, która ostatnio nigdzie się nie pokazywała. Nie uprzedzając nikogo, zaszła do Marcinkowskich. Doktora w domu nie zastał, zapukał więc do pokoju Ireny.

Leżała na sofce, paląc papierosa. Nawet nie podniosła się na widok Targowiaka.

— Serwus, Irena!

— Cześć. Usiądź. Może zapalę.

Sięgnął po papierosa.

— Dlaczego się wyglupiasz i gdzie nie bywasz?

— Wyrzucono mnie ze szkoły. Zakała miasta, widzisz ich? Wszedł przez Marcina. Dowiedzieli się, że byłam u niego w Paryżu. Podobno niewłaściwie się prowadziłam.

— Co teraz zrobisz?

— Przenieść się do innego miasta. Mówiłam z ojcem. Udam się do Nowego Sącza. Będę miała tam parcie w Romku i zdam maturę.

— Z Marcinem zerwałaś?

— Oczywiście. Marzy o karierze wojskowej i nie mogę mu przeszkadzać. Może i lepiej. Nie jest to dydat na męża. Początkowo rozczarowałam, teraz przeszło, i gdyby ta afera w szkole, miałabym z głowy.

— Musiał ktoś napyskować.

— Nawet nie. Jestem po prostu w ciąży.

Chociaż wiedział o wszystkim, czerwienił się nagle. Irena wydawała się obojętna.

— I co zrobisz?

— Nie wiem. Ojciec mówi, że skrobankę za późno. Sam rozumie piątą miesiacę. Byłam idiotką.

— Dziękuję, że gdy powiem Marcinowi, upadnie na kolana. A on wyprze mnie za drzwi.

— Przesadzasz.

— Jeszcze powiedział, że z każdym dzieckiem.

— Oszalałaś?

— Bynajmniej. Romek w to wierzył i roztrząbił wśród przyjaciół. Nie mam wyjścia. Muszę jechać.

— Do Romka?

— Nie. Do siostry ojca w Warszawie — rozłakata się.

— Wszystko przez ciebie. Uwierz mi! Marcin mi się spodobał, wet bardziej od ciebie. Zaszła ciążę w Paryżu. Co mam robić?

— Urodzisz dziecko i zdasz maturę jako ekstern.

— Ojciec też tak mówi, lecz się zabije. Styszysz, Adam? staraj się o cyjanek potasu.

— Płacziesz głupstwa. Dziecko wychowają, a ty wyjdiesz za niego.

Szlochała coraz głośniej: — biję się i koniec!

— Uspokój się. Ludzie w gorstce warunkach dają sobie radę. Należy skończyć studia i zacząć pracować.

— Jestem dziewczyną z dzikim, nie rozumiesz? Jeżeli Marcin nie ożeni się ze mną, skończy ba.

człowiek w skansenie

godzi się atakować ich po śmierci, tym bardziej swego kolegi po fachu — również redaktora. Nie wolno płytkiej sensacji wywoływać kosztów krzywdy pamięci zmarłych.

Na dowód mego protestu czuję się w obowiązku przytoczyć kilka wyjaśnień. Paradoxem jest zarzucać obojętność wobec najbliższych człowiekowi, który przez swe serdeczne postępowanie, zarówno wobec własnych dzieci jak i krewniaków, zasłużył sobie na miano bardzo rodzinnego i uczynnego, interesującego się zawsze żywo losem rodziny bliższej i dalszej. Doskonale pamiętam jak również i inni, jak to po wojnie pomagał materialnie dorosłym już dzieciom — synowi, do kształcącemu się w Szkole Sztuk Pięknych w Warszawie i córce, która po otrzymaniu dyplomu filologii angielskiej (na Uniwersytecie Warszawskim) kończyła następnie Szkołę Pielegniarską w Krakowie a potem studia wyższe w Bostonie. Czy nie to z dużym poświęceniem, wiem bowiem, że potrafił ograniczyć do minimum swe potrzeby osobiste, żyjąc wyjątkowo skromnie w Warszawie, byleby móc pomagać jak najwięcej tak bliskim jego sercu — swym rodzinnym dzieciom.

Jak tylko mógł wraz z dziećmi ratował też swą chorą żonę i nie za-

pomniał o swej matce, której regularnie pomagał, przysyłając pewne kwoty na ręce siostry, opiekującej się staruszką. Znała Zofia była za godna i za szlachetna, by chodzić po sąsiadach i użalać się przed nimi. Pracując po wojnie jako nauczycielka francuskiego w Gimnazjum i Liceum w Łomży, pomagała mężowi w utrzymaniu rodziny, o której losy zawsze wspólnie troszczyli się do końca.

Z broszurki „Prawda o Muzeum w Nowogrodzie”, dowiadujemy się że Ofiarna żona Zofia dla potrzeb Muzeum przekazała pewne kwoty. Również pomogły Muzeum finansowo sejmiki powiatowe: Iomżyński i ostrołęcki, PTK, Fundusz Kultury Narodowej itp. instytucje. Największy jednak był wkład w dzieło Skansenu samego Adama Chętnika, który głównie finansował placówkę, dzięki swej pracy jako redaktor „Zorzy”, „Drużyny”, „Gościa Puszczalskiego” i „Gońca Pogranicznego” oraz licznych artykułów w ówczesnej prasie, jako wydawca głównie własnym nakładem wielu (około siedemdziesięciu) — opracowanych przez siebie wydawnictw regionalnych, jak również będąc posłem na sejm w latach 1922—1926.

Utalentowany syn Jerzy nie zdołał w pełni rozwinąć swych skrzy-

deł jako artysta malarz. Przeszkodziła mu w tym bardzo ciężka choroba tocząca jego organizm, począwszy od przeżyć wojennych w niemieckim obozie jenieckim na Mazurach. Trzeba uświadomić sobie tragizm beznadziejnie chorego młodego człowieka, posiadającego żonę i troje dzieci. Ofiara wojny jakich wielu. I dla nich winniśmy mieć serce i współczucie, a nie obelżywe krzywdzące słowo.

Nigdy nie wiadomo jaki nasz będzie koniec i czy my w zakamarkach organizmu nie przechowujemy zaczątków straszliwej choroby, jakiej na imię rak. Nie wiadomo też, czy podczas ataku choroby nie wyciągamy ręki po narkotyki, czy inne środki, by choć na chwilę uśmierzyć swe wielkie cierpienie.

Zyja jeszcze córka i synowa z wnukami Adama Chętnika oraz siostry i dalsza rodzina, którzy mogą potwierdzić powyższe fakty.

Największe zło tkwi w tym, że niesłuszne zarzuty dotyczą zmarłych, które nie mogą się już bronić i ranią boleśnie rodzinę najbliższą i dalszą.

Za krzywdy wyrządzone zmarłym ponosi się największą odpowiedzialność. Przecież i w obecnych czasach Panów Dziennikarzy obowiązuje pewne morale.

JADWIGA ADAMOWA
CHĘTNIKOWA
Nowogrod

Należy przypuszczać, że na skutek przeoczenia dziennikarskiego, znalazły się w artykule „Człowiek w skansenie” („Kontakty” 2/80), opracowanym przez Ob. Danutę Sobolewską i Aleksandra Wroniszewskiego — krzywdzące i nieścisłe, uwłaczające czci i dobrej pamięci Adama Chętnika i jego najbliższej rodziny. Została ona wydrukowana jako poważny wywód — gawęda przeszła do 65-letniego dozorcy Skansenu Ob. Juliana Świdierskiego, którego uzdolnienia gawędziarskie znamy wszyscy. Będąc ludowym przewodnikiem potrafił łączyć humor z faktami, wyrażać wydarzenia na swój sposób i wymyślać fantastyczne historie do nich niespotykane.

Wnioskiem z tego widać że młodzież dziennikarska nie zna dostatecznie terenu, ludowego sposobu wyrażania się, jak również życia i działalności naukowo-społecznej dojr. Adama Chętnika. Trzeba dobrze poznać miejscowych folklor, aby w przejawach ludowego odczytać ukrytą prawdę.

Nie wytrzymuje krytyki jakoby Redakcji chodziło o pokazanie Chętnika „po ludzku z wadami”, skoro przedstawione fakty dotyczące jego osoby, nie pokrywają się z rzeczywistością — a więc uderzono w próżnię. Tym niemniej tego rodzaju podbiki byłyby niskie i mało szlachetne, zwłaszcza, że dotyczą osób, które od nas odeszły bezpowrotnie. Nie

W/w artykuł, sądząc z tytułu, ma za ambicję podkreślić rolę człowieka w Skansenie — Muzeum Kurpiowskim w Nowogrodzie — oddając głos emerytowanemu dozorcy Ob. Julianowi Świdierskiemu. Przedstawia nam „erudyte” ludowego omawiającego utworzenie Muzeum i tegoż perturbacje. I osoba ta urasta tu, z woli dziennikarzy, do roli pierwszoplanowej angażując — ze względu na podpisy — powagę „Kontaktów”. Artykuł oddaje całą prozę powstania Muzeum w sposób naiwnie uwłaczający inicjatorowi-organizatorowi (po wieku pracy) — podnosząc na piedestał gawędziarza Ob. Świdierskiego, jako „całą duszę” Skansenu. I w tym względzie artykuł osiągnął cel w sposób łatwutki i przejrzyście — odkrywając nam nowego bohatera. Bravo Redaktorzy — w maglach radości.

Z punktu społecznego natomiast — rola Doc. Adama Chętnika spada do rzędu „zwariowanego mania” — bez podkreślenia i omówienia zasadniczej roli w tworzeniu komórki społeczno-historycznej — tych

ziem, na czym zaczęto się w Polsce wzorować — i to szeroko — budując znakomite Muzea tego rodzaju, bogacie wyposażone, o wyjątkowo i szczegółach obejmujących całą gamę twórczości ludowej.

Rolę ideowych twórców pomija całkowicie — tych prekursorów całej sprawy Kurpi — owszem, w sposób obliczony na tani efekt — u wypuklając jedynie gadatliwego dozorcy Muzeum — obiektu o tak kolosalnym znaczeniu [dla] egzystencji n/Narodu.

Słowem, taki artykuł i to o Skansenie — szczególnie dzisiaj — jest „chafurą” bez pojęcia i obiektywizmu — raniący spadkobierców patriotycznych myśli zasadniczych.

Artykuł ten winien zatem obejmować, po wyłączeniu oczywistych sprzecznych ze sobą wyrażań, przedstawiających w złym świetle wiarygodność samego opowiadania — wyłączenie życiorysu — na tle Skansenu — Ob. Juliana Świdierskiego, bez tykania osoby, tak znanego w kraju i zagranicą, nieoddziałanego Doc. A. Chętnika — bez uderzeń w

kierunku Docenta, jak i Jego Rodziny Kurpiowskiej — nadal żyjącej, która takim ujęciem jest „do żywego” dotknięta — i domaga się (i słusznie) — zadośćuczynienia. A jeśli już ten artykuł nosi taki tytuł o szerokim społecznym znaczeniu — to stanowczo brak mu do wykończenia szczegółów mówiących o przyczynach ludowo-twórczych, dla których ten Skansen istnieje i — istnieć będzie, mimo skromnych asortymentów wyposażenia.

Sprawa szkalowania pamięci, jednego z wybitnych twórców ludowych — A. Chętnika — ze względu na destrukcyjność, tego szkalowania, charakter — powinien zainteresować się czynnik partyjny.

MGR INŻ. T. ŚMIEGIELSKI
Sekretarz POP
Oddziału Towarzystwa
Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej
w Nowogrodzie

Na życzenie autorów — ich listy zamieszczamy bez ingerencji redakcyjnych.

Przyznajemy, że nietaktem z naszej strony było pisanie o intymnych sprawach rodziny Adama Chętnika. Przykro nam jednak równocześnie, że pani Jadwiga Chętnikowa i autorzy „Protestu” nie znają podstawowych reguł rządzących reportażem. Proszę Państwa, to był reportaż o człowieku, a nie laurka poświęcona Skansenowi! Wspomnienie Adama Chętnika stanowi nieodzowny element widzenia świata bohatera artykułu. Gdyby w życiu Juliana Świdierskiego ważniejszą postacią był np. ksiądz proboszcz, jemu poświęciłby tamte słowa. Nawiasem mówiąc, zapominacie Państwo, że oprócz nich padły i inne, podkreślające zasługi Adama Chętnika. Ale za te przewodnikowi Julianowi Świdierskiemu, jak słyszeliśmy, nie podziękowano.

DANUTA SOBOLEWSKA
ALEKSANDER WRONISZEWSKI



muzeum codzienności

Panu Kunciewiczowi przyszedł ostatnio do głowy genialny pomysł (patrz: felieton w nr 6 „Kontaktów”) — stworzenia Muzeum Codzienności. Pomysł zupełnie nowy, przynajmniej w Łomży, bo, o ile mi wiadomo, idea „Musée du Quotidien” już zajmowała na Zachodzie niejednego umysłu. Tak drobny mankament nie przeszkadza mi wcale czuć, że każde kupione pudełko zapalek, każda paczka papierosów, są to rzeczy codziennosci, które stały się historią. Od dziś nie będę się starzec z moją kanapą, pantoflami, masłem, lecz historycznicę. To o wiele lepiej brzmi. Czyny też, zwykłe dotąd, przedmioty bliższe, droższymi — przecież godnym muzeum o światowym rozgłosie. Głupio będzie trochę wyrzucać na smieci gustowne opakowanie po makaronie, skoro wczoraj widziałem je w muzeum. Mam nadzieję, że Piotr Kunciewicz nie odczuje pewnych moich zastrzeżeń jako ostrej krytyki. Póki co, przebywa przeważnie w Warszawie, więc można z nim niekarnie polemizować. Oddychanie powietrzem łomżyńskim powoduje u mnie Wesoła ja nawet tam, gdzie jej nie ma. Jest to fakt również niezbyt korzystny dla Piotra Kunciewicza, który zamysłał Muzeum Codzienności, nie dopatrzeć miazdzącej krytyki „nieodstatecznego nasycenia wyrażenie cytując za autorem felietonu, ponieważ sama absolutnie nie chce mieć do czynienia nawet

z najlepszą substancją kulturalną. Mam dziwne skojarzenia z substancją trującą).

Moment tworzenia takiego muzeum wydaje mi się odrobinę niefortunny. Plaga etykiet zastępczych wprawdzie powoli się kończy, ale trudno będzie tłumaczyć się przed historią z tych wszystkich „związków męskich” i „pazurków dziecięcych”. A kto nam z przyszłego pokolenia uwierzy, że w roku 1980 w torebkach z napisem „ryż” sprzedawano cukier, w „macie wrocławskiej” była manna, a wrocławskiej nie było wcale? Puszki stały się takie szare, czasem tylko ożywołone rdzą, ale odróżnić bigosu od gołąbków nie sposób. Rozumiem jednak, Panie Piotrze, że będzie Pan musiał — z konieczności — zapłacić muzeum puszkami. Zapomniał Pan również o trudnościach lokalowych miasta. Nawet jeśli zyska Pan przychylną władzę, będą mogły przydzielić jedynie jakiś atrakcyjny sztyl. O locum radziłabym zwrócić się dyskretnie do Spółdzielni Mieszkaniowej. Sądzę, że na początek odstąpiłaby (za niewielką opłatą czynszową) jakieś M-2, nie nadające się do zamieszkania. Ręczę, że jest w czym wybierać. I jeżeli Łomżyński Przedsiębiorstwo Budowlane będzie pracować nadal w tym samym stylu — można być spokojnym o przestrzenność rozwój muzeum.

Krótką wizytą w magazynach meblowych przyniesie nam doskonale eksponaty w postaci standardowych mebelków o niemal zerowej „przydatności użytkowej”. Niestety, cena

pozostaje ta sama bez względu na stan mebla. Trzeba się bardzo spieszyć, ponieważ w jedynym pawilonie meblowym w Łomży zaczyna się już sprzedawać zabawki. Za miesiąc resztę powierzchni zajmą być może stoiska sprzedaży ziemniaków.

W ten prosty sposób stworzymy muzeum, które samo będzie eksponatem. Ale mam propozycję jeszcze łatwiejszą do realizacji: potraktowania całego miasta jako ogromnego Muzeum Codzienności. Na ileż rzeczy, które nas na co dzień dręczą i denerwują, spojrzymy z dystansem! Przecież w muzeach umieszcza się eksponaty, które „mogą nas dziwić, i tym zdziwieniem bawić”. Będziemy się wreszcie doskonale bawić codziennie, od rana do wieczora. Te autobusy! Kiedyś jeździły, a teraz pojawiają się! Kiedyś wywożono śmieci z osiedli. Z muzeum — nie. To normalne. Że tylko jeden gatunek kawy i herbaty? Nie wszystko da się w muzeum pomieścić. Itd.

A w jak prościutki sposób rozwiązałby Pan kwestię doboru ubrań do takiego muzeum. Ze zdefiniowaniem obecnej mody mają kłopot nawet fachowcy. Nosi się absolutnie wszystko. Kilka egzemplarzy bardzo by muzeum zubożyło. Moja propozycja gwarantuje, że będzie to muzeum barwne, ciekawe, a nade wszystko — zabawne.

ANNA GORZOWSKA

moja droga do Łomży

Nawiązując do pamiętnika Genowefy Chyczyńskiej „Moja droga do Łomży” („Kontakty” nr 4/80) pragnę wyjaśnić, że Dyrekcja Państwowej Szkoły Muzycznej I i II stopnia w Łomży nie lekceważy dobrych pedagogów i stara się im stworzyć odpowiednią atmosferę pracy. Poza tym większość nauczycieli tej szkoły dobrze wywiązuje się ze swoich obowiązków, angażując się w życie szkoły i sprawy muzyczne miasta.

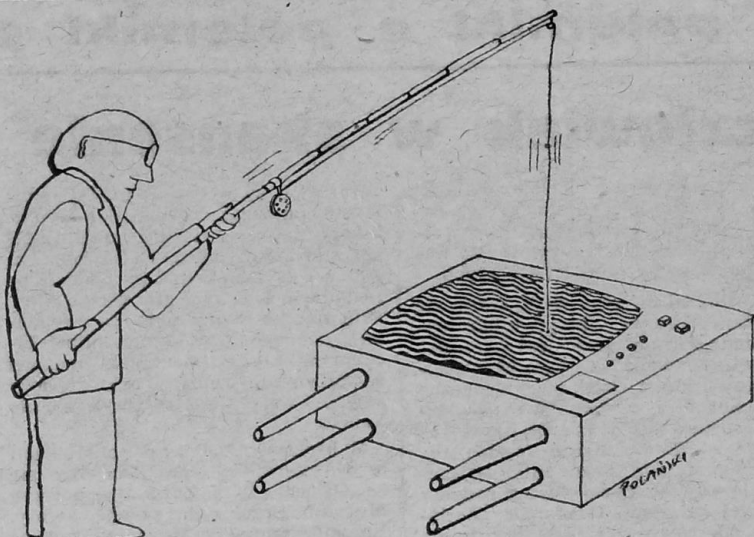
Wiolonczelista Kazimierz Chyczyński — muzyk z wieloletnim stażem — nie pracował dotąd w szkolnictwie i nie potrafi przekazać swej wiedzy uczniom. Nie zawsze umiejętności idą w parze z talentem pedagogicznym. Poza tym nie ma kwalifikacji, które pozwoliłyby mu prowadzić zajęcia dydaktyczne w Państwowej Szkole Muzycznej II stopnia.

ELŻBIETA LESZCZYŃSKA
Łomża

GENIUS LOCI

Z pewnym zdumieniem przeczytałem ubolewania Putramenta, że wielogodzinne bloki telewizyjne są okropnie nudne. A kto mu, u licha, każe przesiadywać całymi dniami przed magicznym okienkiem? W istocie jednak Putrament odkrył pewną, wstydliwie skrywana, prawdę: pisarze już nie bardzo ufają swojemu rzemiosłu. „Klasyk” powinno być tak: przez pierwsze godziny dnia autor po prostu pisze, przez następne gromadzi materiał — zdarzenia, myśli, obrazy, cudze słowa i pomysły. Bo to jest taki szczególnie zawód, w którym właściwie nie ma czasu wolnego, nie ma też urlopu ani ucieczki od własnej pracy. Po prostu cały świat jest jej przedmiotem. I nie mniej.

A więc należy dużo czytać, należy chodzić po ulicach i patrzeć na ludzi, ale także chodzić po łakach i patrzeć na ziola. Albo na chmury. Albo na czasy minione. Tymczasem coraz częściej pisarz nigdzie nie chodzi, lecz zasiada w miękkim fotelu i zżyma się, że mu koledzy z redakcji telewizyjnej nazbyt jolawą papkę przygotowali. I lektury, i oglądanie świata schodzą na plan dalszy, o ile w ogóle jakkolwiek częstą czasu zachowują. W ten sposób twórczość literacka pomaleńku staje się załącznikiem do telewizyjnej, a więc do przetworzonej już wersji świata. I wbrew początkowym (co prawda powracającym ciągle jeszcze) założeniom, nie literatura jest natchnieniem telewizji, a odwrotnie.



nasz wróg codzienny

Co do mnie, stoczyłem z telewizją długą, nie całkiem przegrany, pojedynek. Po prostu przez całe lata nie miałem telewizora. Ponieważ od czasu do czasu sam produkowałem się w TVP, więc i siebie nie oglądałem albo też bardzo rzadko i przypadkiem. W końcu jednak miałem do wyboru: kupić telewizor, albo rozejść się z żoną. Sytuację skomplikowała okoliczność, że nie znałem żadnej kandydatki do małżeństwa, która by wolała męża od telewizora. Tedy i ja dałem się

schwycić w pułapkę małego ekranu.

Ale przecież pewien cień niezależności zachowałem. Prawie nigdy nie oglądam programu „jak leci”, stąd twórcy Putramenta są mi obce. Po wtóre — nie włączam odbiornika na ślepo, a jedynie dla określonych programów. Po trzecie — po obejrzeniu określonego programu staram się ów sprzęt wyłączyć. Unikam w ten sposób sławetnej „mozaikowości” telewizji, czyli tego — umiłowanego przez Putramenta —

grochu z kapustą. Szczególnie zresztą: Panie Jerzy, gdyby Pan pisał wyłącznie nowelki, byłoby to konsekwentne, że nie może Pan znieść jednego tematu dłużej niż pół godziny. Ale tak nie jest, więc jakże oczekuje Pan od swojego czytelnika, że nie stworzy go Pańska powieść parutomowa?

Przypadek literacki to już jawna nadużycie telewizji. Ale przecież to samo stosuje się do każdego — do trosze. Rzecz przede wszystkim polega na tym, że sami w sobie nie umiemy odnaleźć dostatecznie ciekawych i ważnych rzeczy, nie potrafimy snuć refleksji i nie nudzić się w samotności. Dlatego skazani jesteśmy na nieustanną pogonę wciąż nowymi bodźcami i informacjami, chociaż po prawdzie nie są one nam do niczego potrzebne, i nawet zapamiętać ich nie potrafimy. Zresztą — po co właściwie?

Zachowanie niezależności wobec małego ekranu, to być może jedna z najważniejszych „zadań wewnętrznych” człowieka naszych czasów. Czy jest ono realne — to już inna sprawa. Autorzy science fiction nie raz już ukazywali człowieka przyszłości jako bezwolną kupkę mięsa przyłączoną do „zupociągu”, „nociągu” i super-telewizora-imitatora-stymulatora przyszłości. Być może to nieuniknione, ale ja przynajmniej będę się bronił przed tym, jak tylko potrafię. Zaś Putrament jest już na najlepszej drodze. Smutno.

PIOTR KUNCEWICZ

POUFNY DIENNIK BEZ DAT

Nadszedł ten moment, kiedy trzeba trochę zmienić (skorygować) sposób prowadzenia mojego dziennika. Szef redakcji — człowiek spokojny, lecz bardzo stanowczy — wielokrotnie zwracał mi uwagę (nie powiedział tego co prawda wprost), że to, co piszę, nie jest wcale takie osobiste, a tym bardziej — poufne. Może i ma rację. Spróbuję więc pisać o moim życiu w Łomży, o jego troskach i kłopotach, które niejednokrotnie znów nie są tylko moją osobistą sprawą. Muszę sięgnąć myślami wstecz.

Dzisiaj wydaje się już prahistorią dzień, gdy po raz pierwszy w naszym domu w Kłodzku padła nazwa tego miasta. Zaczęło się szukanie map i odnajdywanie punktu, który miał być celem naszej podróży, a następnie — podeksytowanie, zdenerwowanie... Przyjaciele, którzy odwiedzali nasz dom, dolewali oliwy do ognia: „Zwariowali, na drugi koniec kraju”. „Nikogo tam nie macie; w twoim wieku zaczynać życie od początku?” „I to gdzie? W jakiejś Łomży. Człowieku, ty się zastanów”.

Właściwie dwa argumenty zdecydowały o tym, że wyjazd z Kłodzka został, czy też musiał zostać, zrealizowany: a) konieczność zmiany klimatu, ze względu na stan zdrowia, b) przemożna chęć sprawdzenia się w nowym środowisku, w nowych sytuacjach; dokonania jeszcze jednego wysiłku, który praktycznie wydawał się nierealny i, jak twierdziło wielu przyjaciół, zupełnie niepotrzebny.

W końcu zdecydowaliśmy się z żoną

na tę podróż, żeby zobaczyć, jak rzecz się ma na miejscu. Propozycja nasza została przyjęta przychylnie. Niemalą rolę w podjęciu decyzji odegrał nasz przyjaciel-pisarz, Władysław Zesławski. Znał już Łomżę i gorąco nas do niej zachęcał.

W warszawskiej kawiarni Związku Literatów Polskich piliśmy kawę i oczekiwaliśmy godziny odjazdu pociągu. Rozmowy przebiegały w stylu: „Ty też będziesz budował dom w Drozdowie, w tym skansenie dla literatów?” „Ilu już tam was jest?” Nie było sensu tłumaczyć się z tego, że nie mam ochoty nigdzie niczego budować ani zakładać szklarni. Pewne środowiska nie są w stanie zrozumieć, że można w życiu zrobić coś, w czym sprawy materialne nie są najważniejsze. Przestałem reagować na zaczepki i niecierpliwie spoglądałem na zegarek.

Kawa już była zapłacona, przygotowaliśmy się do wyjścia, gdy nagle, nie wiadomo skąd, przed naszym stoikiem pojawił się Zygmunt. Dawno go nie widziałem, doszły mi jednak wieści, że od kilku miesięcy mieszka w Łomży. „Do Łomży? — zaczął beceremonialnie. — Wczoraj stamtąd wróciłem. Tam się nie da żyć. Uciekam z tego miasta gdzie pieprz rośnie. Dno. Totalne dno. Ale jedźcie, takie błotko trzeba zobaczyć”. Padają nazwiska, ostrzeżenia. Dokładnie zostaliśmy poinformowani, kto z kim, przeciw komu. Z kilkunastominutowego monologu można było wysnuć niewesoły wniosek, że w mieście tym nie mieszka prawie żaden uczciwy człowiek, któremu można będzie ewentualnie zaufać. Przejęłoby mnie to

zgroza, gdybym nie był uprzedzony o rozhisteryzowanej wyobraźni mojego rozmówcy.

Życie nauczyło mnie nie traktować zbyt serio tego, co mówią inni, a szczególnie wtedy, gdy mówią o pewnych sprawach z zaciętką zawzięcia. Nienawidzę wybuchu i znika, zawiść zostaje i zatacza coraz szersze kręgi, rozrasta się w organizmie niczym rak, aż przeciwnik — zdrowa tkanka — zostaje pokonany. Nie przyjąłem więc tych wszystkich informacji bezkrytycznie, ale w pamięci został jednak pewien osąd, który o słowach Zygmunta nie pozwalał całkowicie zapomnieć.

Przyjemnie jest przeczytać książkę o regionie, w którym się mieszka. Są miasta, które doczekały się znakomitych monografii, powieści i opowiadań; losy ludzkie toczą tam się wśród dobrze znanych ulic. Pisane są one językiem, w którym mieści się jedyny, niepowtarzalny klimat tych miejscowości.

Łomża nie ma zbyt wielkiego szczęścia do literatury. Zdarzają się książki ważne, ciekawe, ale najczęściej pozycje mierne, nie wnoszące nowych wartości poznawczych. Do takich należą „Niewierna” i „Narkomanka” Józefa Stompory. Nie byłoby warto może o tych dwóch pozycjach pisać, gdyby nie należały one do faktów dokonanych, egzystujących w świadomości społecznej. Lista zarzutów pod adresem autora jest zbyt długa, aby dążyć ją w pełni wyczerpać. Pozostawmy więc przy sprawach najbardziej istotnych.

Lekarz, główny bohater powieści, co kilka stron pije kawę „tyk po tycku”, choć na jednej z nich za-

licza ją do narkotyków. Ponadto jest ciągle niewyspany i łamie zasady etyki swojego zawodu, np. zwleka z operacją tylko dlatego, że ma oglądać zagraniczną dziennikarkę, i w końcu nie bardzo wiadomo, kłere z opisanych środowisk jest bardziej przerażające: alkoholików czy lekarzy. Może jedno i drugie nie będzie szacunku, lecz czytelnik powinien wiedzieć, któremu z nich przedstawia się autor (między jedną a drugą kawą, piłą „tyk po tycku”). Ale tego i sam autor zdaje się nie wiedzieć.

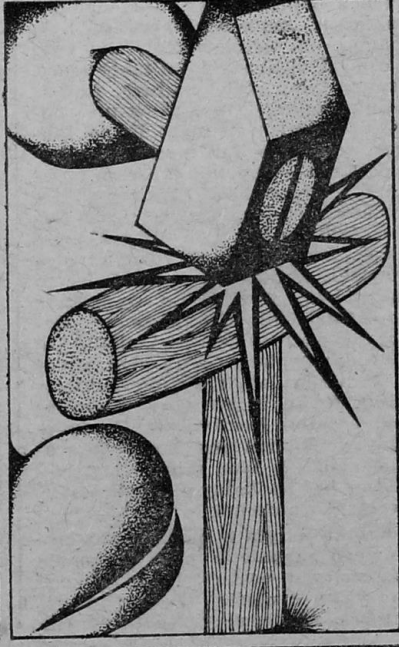
Lekarz, jak to w bulwarowych romansach bywa, zakochuje się w bystrzej dziennikarce z Wiednia; rzuca się z pracy, z dyżurów, i przyjeżdża do swojego ukochanego, rodzinnego miasta — Łomży. Pokazuje jej cmentarze, pomniki ku pamięci pomordowanych, zawozi do Giełczyńska, czyli manifestuje same szlachetne, patriotyczne gesty. I bardzo brzo. Tylko dlaczego te odruchy nie są udokumentowane psychicznymi przeżyciami bohatera? Papierowy dialogi, prowadzone na zasadach szkolarskich pytań i odpowiedzi, czego nie wyjaśniają. Skoro na stronach znajdują się dokładne opisy, jak bohater ubiera się w lekarski kitel, wkłada i zdejmuje buty, oraz podobne drobiazgi, to dlaczego nie ma na nich zapisu zdarzeń w lesie Giełczyńskim, który świadczy o jeszcze żyją?

Nie będę tu pisał o stylu tej powieści; „zwilgotniałe psie wierzby” już dawno w naszej prozie przeżyły przecież egzystencjalizm, a podobne mi nonsensami wypełniony jest ten duży stos zadrukowanego papieru, powielony w 40 000 egzemplarzy.

JAN KUL

refleksje

Rysunek Mieczysława Bukowczyka



zwierzenia kruczołosiej

GERTRUDA ŁUKASZEWICZ

JOANNA: Mam 13 lat. Obecnie chodzę do siódmej klasy. Od dwóch lat uczę się języka angielskiego. Teraz jest mi dobrze, ale gdy miałam 5 lat — było mi bardzo źle. Wprawdzie miałam rowerek, o którym marzyłam, ale wtedy nie miałam mamy, bo moja mama często przebywała w szpitalu. Wraca na krótko do domu, znów ją zabierają. Kiedy miałam 5 lat, i kiedy nie było mamy w domu, przebywałam trochę u babci, a trochę u koleżanek mamy. Zawsze mi było czegoś brak. Nawet nie potrafię powiedzieć, czego mi brakowało. Było mi źle, nie umiałam się niczym cieszyć. Najczęściej było mi smutno. Mama będąc w domu, nie rozmawiała ze mną. Zawsze spała, a gdy się obudziła, wtapiała wzrok w jeden punkt i godzinami milczała. Mówiłam do mamy różne rzeczy, ale mama nie reagowała. Mówiłam do siebie, ale nikt mnie nie słyszał.

Czasami mama wychodziła do miasta po różne zakupy. Wtedy mnie zamykała i wtedy mówiłam do siebie, a gdy byłam głodna, wołałam jeść. Nikogo nie znałam i dlatego nie wiedziałam, kogo prosić o jedzenie. Pewnego razu mama wyszła, drzwi zamknęła. Ja poszłam na balkon i wtedy zobaczyłam jakąś panią na balkonie, obok naszego balkonu. To była nasza sąsiadka zza ściany, a obecnie moja ciocia. Ciocia i jej córka, Jola, podały mi po sznurku jedzenie w koszyczku. Mama długo nie przychodziła do domu. Wujek, mąż cioci, wykorzystał tę sytuację, wziął klucz od swojego mieszkania, otworzył drzwi do mojego domu i zabrał mnie do siebie. Zaraz Jola mnie wykapała, ciocia dała obiad, i w ten sposób znalazłam się u cioci i wujka. Mama była trochę tym zaskoczona, ale nie nalegała, żebym wróciła. Mama zawsze stała się obojętna, kiedy ta choroba powracała. Teraz również rzadko spotykam się z mamą. Nadal często przebywa w szpitalu. Niekiedy odwiedzam ją razem z ciocią. Rozmawiamy. Pyta wtedy o szkołę, stopnie, interesuje się mną. *(głębokie westchnienie, drżący głos)*

Kocha mnie, jak mama... Ja chciałabym mieć tatę, mamę, ale... siostrę, brata, ale... W tej chwili mam siostrę. Ma dopiero miesiąc. Ła-a-dna-a, malutkaa...

Nie piszę tego pamiętnika z dnia na dzień, ale staram się pisać wszystko, co przeżyłam najmocniej.

Czasem odwiedzam swoją siostrzyczkę... *(uśmiech)* Szkoda, że nie ma z nią mamy. Jest znów w szpitalu. Jest z nią jej tata; dla mnie to jest obcy człowiek. Ten pan opiekuje się nią, nawet dobrze to robi. Aaa... pomaga mu w tym ciocia. Iiii... nie wiem, co mówić... A teraz resztę ciocia i wujek.

CIOCIA: Obok naszego mieszkania, tuż za ścianą, mieszkała jakaś pani z dziewczynką. Mieszka, to mieszka. myśmy się tak bliżej nie interesowali. Ale patrzymy — dziecko (miało wtedy 5 lat) stałe siedzi na balkonie, jakieś osowiałe, wystraszone, milczące. I to nas wtedy zaniepokoiło. Dlaczego to dziecko takie same, siedzi na balkonie bez opieki. Ile razy pukaliśmy do drzwi, nikt nam nie otwierał. Ona wtedy spała, znaczy się — jej matka, bo ona wtedy też swoją chorobę przechodziła. Małej podawaliśmy przez balkon po sznurku jedzenie w koszyczku, i tak było jakiś czas. Wreszcie myśmy zadzwonili do ADM-u, Milicji, Wydziału Oświaty i do Sądu. To już wtedy ona otworzyła mieszkanie i zobaczyli, co tam się działo, w tym mieszkaniu. Warunki były okropne, okropne, tak że trudno opowiedzieć, kto nie widział. Bo ja pierwszy raz to widziałam, i nie chciałabym więcej tego zobaczyć. Mocz, robactwo, szkoda gadać.

Chcieli zabrać ją do Domu Dziecka. No, myśmy też z początku nie byli zdecydowani, co i jak. Mamy swoich troje dzieci. Tak że warunki nienadzwyczajne. No, ale ze Sądu dostaliśmy wezwanie na rozprawę. Matka leżała w szpitalu. Czy chcieliśmy to dziecko, jako rodzina zastępcza? — pyta sędzia. No więc zgodziliśmy się. Joasia została u nas. Minęło już 7 lat.

WUJEK: Asia u nas się znalazła w sierpniu. A od września szła do przedszkola. Z początku my mieli trudności straszne. Asia się okropnie bała wody. Jak się do wanny wody nalało, to w całym domu okropny płacz, lament. Więc ja z tej racji w przedszkolu dowiedziałam się, że jest basen, do którego dzieci chodzą się kąpać, przedszkolaki. Uczy się pływać. Zapisaliśmy ją na ten basen i ona chodziła na ten-basen się kąpać. W ten sposób nauczyła się



Fot. Gabor Lőrinczy

pływać i obcować z wodą na co dzień. Teraz doprowadziła się do tego — że jest czystutka, elegancka, i lubi się często przebierać. A więc wzięliśmy ją z uwagi na to, że ona tutaj, w sąsiedztwie, za ścianą była, z matką tam mieszkała. Po drugie, nawet gdyby chcieli ją zabrać gdzieś do Domu Dziecka, tośmy tak urządzili, że jej nie damy. Może matka wyzdrowieje...

CIOCIA: Początek był z nią ciężki. Była uparta, ludzi się bała, z nikim nie rozmawiała, żadnych kontaktów z dziećmi. Ciągle przecież była zamknięta na klucz.

WUJEK: Myśmy matki bliżej nie znali. Widzieliśmy ją czasem na schodach; taka sobie niczego babka. Dosyć młoda i tego... Ale że aż taka chora, to my nie przewidzieli. Żeby tak dziecko zaniedbać, do tego stopnia? Niemowię z niego zrobić? A w tym mieszkaniu taki był okropny brud, taki fetor, że ADM asygnował tysiąc złotych za sprzątanie, a nikt nie chciał sprzątać, ani nawet za trzy tysiące. My to mieszkanie oporządzili, oskrobali, obczyścili, i było jak się przynależy. No, a teraz ona wróciła. My ją już trzy razy ze szpitala wypisywali, ale za każdym razem coś zawsze narozrabiała. Raz poszła na tory się położyć, raz gdzieś w kopie siana ją znaleźli, i od tego czasu my już jej nie wypisywali. A teraz sama wróciła. Jest tu, za ścianą. Urodziła drugie dziecko; Joasi matka znaczy się. Po tygodniu znów ją zabrali. Ta choroba powtarza się co i raz.

KRYŚIA: Moi teściowie postąpili słusznie. Są bardzo wrażliwi na czyjaś krzywdę. Lubią pomóc. Teraz przy tym drugim, też mama pomaga. Kąpie, przewija. Co chłop sam zrobi?

WUJEK: Ojcem tego dziecka jest też pacjent z tego szpitala, gdzie ona jest.

(Malutki pokój; na środku wózek z niemowlęciem; pachnie moczem i przypalonym mlekiem; młody mężczyzna w jednej ręce trzyma papierosa, drugą wkłada do buzi smoczek niemowlęciu)

CIOCIA: Przyszłam, bo myślałam, że będzie kapane.

MEŻCZYŻNA: Wczoraj było kapane, lepiej co drugi dzień, bo ona w krocisku także czerwone ma. A tak to ona zdrowa.

CIOCIA: Co będzie dalej. Kiedy ta mama wróci?

MEŻCZYŻNA: No, ale ja se poradzę z dzieckiem. Ono do mnie podobne, to dbam o nie. Troszkę do mnie podobna, troszkę do mamy. Halina Julia — dwa imiona ma.

CIOCIA: Na razie ten pan dostał zwolnienia na dwa tygodnie. Do pracy nie chodzi, na razie wszystko koło małej robi.

MEŻCZYŻNA: Bo ja, proszę pani, na rencie jestem i na pół etatu. Na trzy czwarte teraz pracuję, a od października będę na jedną drugą.

REPORTERKA: Poradzi pan sobie?

MEŻCZYŻNA: Eee, proszę pani! Do tej pory jakoś idzie, to i dalej pójdzie. Rodziców mam w Gubinie i pierwszą żonę też w Gubinie. Ale tamta mnie wypędziła. „Idź do czubków, tam tylko się nadajesz” — mówiła. Daam se radę. Ona miesiąc ma dzisiaj. Miesiąc i jeden dzień.

CIOCIA: Ooo, budzi się. Patrzy, co tu się dzieje.

MEŻCZYŻNA: Od początku, jak się urodziła, to tylko ja pieluszkę pierę. Ona nigdy. Ona nawet koło siebie porządku nie robi. Tak, ja ją wychowam. W życiu bym nikomu nie oddał. To dla mnie jak rozrywka, takie dziecko. Życie bym se oddał za dziecko.

(Mieszkanie cioci)

CIOCIA: Joasia nasza, jak pani widzi, śpi w tym pokoju, gdzie i my, choć nie powinna. Ale nas w dwóch pokojach sześciu razem, więc nie ma gdzie.

WUJEK: Najważniejsze, żeby się uczyła i słuchała się nas. Ja zauważyłem, że jej właśnie tego potrzeba rodziny i serca, i domu z prawdziwego zdarzenia. Ona musi wiedzieć, że na nią się czeka, że jest ten obiad po obiedzie, to trzeba zmyć, posprzątać, uprać, uprasować.

CIOCIA: Nasza Joasia ma ojca. W Poznaniu mieszka. Taki starszy pan dobrze sytuowany. Ja ich poznałam z sobą. Bo co to znaczy — niby dziecku alimenty przysyła, a dziecka w ogóle nie zna. Poznałam ich. Nawet ją gdzieś do Szwecji, do Bułgarii zabierał. Nawet zaprosił ją do Poznania. Ale ona tam nie chciała. On samotny.

WUJEK: Na trzeci dzień już wróciła do nas. „Wujciu — pyta — jak jest miejsce dla mnie, to wracam do cioci i wujcia.” „Wracaj — mówię — to twój dom.” I przywożem Joasę z Poznania. Mnie się zdaje, że tutaj jej miejsce. I to jest satysfakcja, pani, że takie dziecko przytęgnęło do nas lepiej niż do własnych rodziców.

JOASIA: Dopiero jak coś ze mnie wyrośnie, to będzie satysfakcja.

WUJEK: Przypomnij — od przedszkola do dziś, jaka różnica między tobą, pamiętasz? Już dzisiaj — jesteś półpanna?

JOASIA: Ojciec też mi się dziwił, że tak wyrosłam. „Włosy teraz masz zupełnie kruche” — powiedział mi niedawno. Ojciec ma dwupokojowe mieszkanie. Ale ja tam czuję się źle. Smutno mi tam. Ojca poznałam przez ciocię. Mama nigdy o ojcu mi nie mówiła. Może go też mało znała albo niezręcznie jej było mówić, że nie jestem dzieckiem małżeńskim.



Przeciwnicy herbarzy i dorabiania sobie genealogii zawieszka cenę mają jedną wspólną cechę, z której — być może — sami nie zdają sobie sprawy. Oczywiście, prócz uznania łacińskiej maksymy: „Non omne quod nitet aurum est”, czyli „Nie wszystko złoto, co się błyszczy”. Cechą tą jest duma. Niekoniecznie wiąże się z nią przesławienie o swojej wyższości nad innymi: współczesnymi czy antenami (w końcu wszyscy mamy jachty lub przodków i przy odrobinie wysiłku możemy dotrzeć do tych właściwych). Jest to duma mająca uzasadnienie w historii.

Gdy jedni szukają swego rodowodu w zbyt odległych czasach, drudzy — wiedząc, jak było — wolą nie sięgać do epoki Bolesława Chrobrego. Wówczas bowiem rycerstwo nie miało ziemi. Żył dzięki wspaniałomyślności króla lub księcia, a właściwie, wraz z całym dworem, dzięki hojności wieśniaków. Zdaniem Glogera — dopiero za Bolesława Krzywoustego „uposażone zostało ziemią i przerabiano się na szlachtę osiadłą”. (Wypada zapytać, na cóż my teraz się „przerabiamy”).

Lepiej korzeni własnego rodu (jeśli już szukać w czasach Krzywoustego niż Chrobrego). Te 3-4 generacje wojów żyjących w podwójnej zależności — od chlebobdawcy i dystrybutora dóbr — nie zachęcają do wycieczek w zbyt odległą przeszłość.

Niestety, wszelkie poczynania genealogiczne, i to nie tylko te jednostkowe, zawsze cechowała wyraźna prawie męska tendencja do postarzania. Wystarczy przejrzeć foldery turystyczne, przed laty (a prawdopodobnie i dziś) wydawane w Egipcie: ileż to tam odwołań do faraonów, do tradycji Nowego, Starego i Średniego Państwa. Ileż przywołań z czterdziestu (i paru jeszcze) wieków. A

jakiego herbu był Noe

przecież — dziwił się niejeden turysta — co ci potomkowie arabskich fellahów mają wspólnego z tradycjami, które zniszczyli ich przodkowie?

Czyż nie inaczej postąpił zacytowany mistrz Bartłomiej, herbu Jastrzębiec, zamieszczając w swym dziele rozdział „O znakach rycerskich co my w tym wieku herby zwiemy, jako dawny początek mają”, w którym m.in. czytamy: „Valerius Anselmus Ryd in catalago annorum et principum ab homine condito spisanym, dowodząc tego dawnymi historiami, jako Berozem i Mojżeszem, powiada, że Noe zaraz wyszedłszy z korabia, używał na znak zwierzchności sceptrum albo łaski królewskiej między dwiema kluczymi. Ten był zwan od wszystkich semen mundi, pater principum atque deorum etc. Ten apud Hispalos naprzód miasta budować począł, a dał im imiona córki swych Noela i Noegla, a to było po stworzeniu człowieka roku 1656”.

Swój herb miał również drugi syn Noego, któremu „pieśń gminna” dała niestety, tylko sztyderstwo: „[...] że kto z pijaka, jaka, jaka, śmieje się ten jest Chamskiego rodu”. Według Paprockiego — Cham „nosił Trupią głowę, na niej ptak o czterech nogach zwierzchni na kształt gryfa, tylko, że rogi podobne nosowi jego; tak szatana niektórzy malują. To mu dla tego nadano, że znowa był zarobił na śmierci i na grzech, dla przekleństwa ojcowskiego etc”. Naturalnie, owe herby Noego czy jego synów, miasta nazwane imionami córek, to baśnie heraldyczne; mitologia uprawiana w zupełnie przejrzyście celach.

Bartłomiej de Paprocka Wola, herbu Jastrzębiec, a więc klejnotu wielce starożytnego, wzorem wielu konserwatystów — próbował mówić swoim czytelnikom, że porządek istniejący jest porządkiem odwiecznym.

Widocznie on i jego następcy jednak robili to źle, bo już w XVIII w. ks. Franciszek Jezierski, kanonik krakowski, zamiast szukać przyczynków do nowej heraldyki Noego, pisał w tonie realistyczno-sceptycznym: „W miastach gdzie widzę zawieszane znaki przy domach, domyślam się, że tam rzemieślnicy takiego rzemiosła mieszkają ale, żeby herb na domu był oznaką cnoty jego gospodarza, tego zgadnąć nie można, i herb nie jest narzędzie do przekonania o tej prawdzie”.

Stanowczo mistrz Bartłomiej nie był precyzyjnie wykonywał swoje zadania. Ileż to razy rozważania o jakimś herbie i wykaz rodziny, które się nim posługują, kończył słowami: „[...] Wiele innych domów znacznych w różnych województwach, o których ja w tak szerokim królestwie wiedzieć nie mogę”. Powtarzanie formułek usprawiedliwiającej brak rzetelnej informacji przydaje wprawdzie Paprockiemu walorów stylistycznych, ale zmniejsza wiarygodność jego utworu. Te szlacheckie opowieści heraldyczne historycy uważali za bajdy. Dopiero w XIX w. ta- ccy uczeni, jak Szajnoch, Piekociński, Pawiński, Łaguna, Celichowski, Świeżawski, zaczęli poważnie traktować pochodzenie herbów.

U progu XX w., w 1899 r., w Krakowie ukazała się fundamentalna praca dr Franciszka Piekocińskiego

— „Heraldyka polska wieków średnich”, którą powinien mieć w swych zbiorach każdy miłośnik rodowodu starożytności.

Heraldyka ma również przed sobą dość przyzwoitą przyszłość. Jaką? W tym będzie w ostatnim felietonie następnym odcinku, spełniając życzenia PT Czytelników, przystępuję do prezentacji co znakomitszych rodów łomżyńskich. Liczę na waszą pracę, współudział i doping.

STRYK



sport

Działacze Łomżyńskiego Klubu Sportowego bardzo szybko otrząsnęli się po degradacji piłkarzy z klasy międzywojewódzkiej. Za ostatnie pociągnięcie organizacyjne należało się im wyrazy uznania. Zasiadali na to. Klub pożegnał się z niektórymi zawodnikami.

Początkowo było sporo wątpliwości, czy w ramach odmładzania drużyny nie rozlicza się z niewygodnymi zawodnikami i nie załatwia się osobistych porachunków. Ostatecznie wątpliwości zostały rozwiane. Fakty świadczą na korzyść klubowych działaczy. Wystarczy tylko przejrzeć listę zawodników, których zabrali z sobą na obóz do Mrągowa nowo mianowany szkoleniowiec piłkarzy, Henryk Rudnicki. Drużynę odmłodzono, i to generalnie. Ze starej kadry pozostało tylko trzech zawodników. Za to juniorów jest aż dziewięciu! Skład uzupełnia jeszcze ośmiu zawodników, — tak zwanych młodzieżowców. Razem dwudziestka, i to bardzo młoda. Można więc być bez zakupów.

Oczywiście, tak młodzieżka drużyna będzie miała początkowo trudności. Zresztą, nie należy przesadzać sprawy. Chodzi jednak o to, abyśmy byli wyrozumiali, jeśli początkowo tym młodym piłkarzom będą przytrafiały się niepowodzenia, bo kryteria ich oceny muszą być zupełnie inne niż członków doświadczonych zespołu. Zaufajmy więc zawodnikom i trenerowi, bo działacze w pełni zasłużyli na zaufanie. Taktyka przez nich obrana jest rozsądna, a jej konsekwentne realizowanie musi przynieść zamierzony efekt. W innym przypadku trudno będzie odzyskać zaufanie władz i kibiców.

Oprócz Henryka Rudnickiego, w klubie zatrudnieni są jeszcze Aleksander Cwalina — długoletni opiekun trampkarzy, były zawodnik klubu, znany wszystkim ze swojej solidności i rzetelnej znajomości warsztatu treningowego, oraz Kazimierz Kaczyński, który ostatnio opiekował się seniorami i był przysłówowa ostatnia deska ratunku, gdy klub pożegnał się z trenerem Korkuciem. Ale trzech szkoleniowców to mało, jeśli się chce prawidłowo prowadzić szkolenie z myślą

o ambitnych planach na przyszłość. W sekcji piłki nożnej potrzeba jeszcze kilku szkoleniowców. Pertraktuje się więc z trzema trenerami. W dwóch przypadkach efekt rozmów jest korzystny; może więc i trzeci wyrazi zgodę. Chodzi mianowicie o opiekunów dla juniorów i szkółki piłkarskiej, gdyż słusznie postawiono na pracę z młodzieżą.

Wydawać by się mogło, że wszystko jest na najlepszej drodze. Niestety! Zawsze jakoś tak dziwnie się składa, że znajdzie się ktoś, kto potrafi pokrzyżować najlepsze plany. Ale po kolei. Klub zyskał poparcie, między innymi, Wydziału Kultury Fizycznej i Turystyki Urzędu Wojewódzkiego w Łomży na zatrudnienie byłego trenera, a obecnie — pracownika Wojewódzkiego Ośrodka Sportu i Rekreacji w Łomży, Andrzeja Targa, trenera II klasy. Miał on szkolić juniorów. Dyrektor WOSiR-u otrzymał polecenie wyrażenia zgody na podjęcie przez Andrzeja Targę pracy w klubie, ale pomimo wcześniejszych ustaleń — do oficjalnej prośby klubu ustośunkował się negatywnie i wystrychnął wszystkich na dudka. Może chodziło mu tylko o podkreślenie swojej ważności, a może o to, aby go ktoś poprosił raz jeszcze?

Andrzej Targ spędza na stadionie całe dnie, i jest chyba dobrym pracownikiem, bo stadion zadbane; dawno nie miał takiego wyglądu: trawa równo przycięta, nawet wieczne łysiny na polu bramkowym również pokrywa świeża zieleń. Ci, co znają Targę dłużej, wiedzą, że to solidny człowiek i dobry fachowiec, pracujący zawsze z zaangażowaniem. Teraz wybiera się do Tomaszowa, gdzie zaproponowano mu opiekę nad trzecioklasową drużyną „Lechia”, choć powiedział mi obojętnie, że żył się z ludźmi i miastem, chciałby tu pozostać.

Decyzja dyrektora WOSiR-u w sprawie Targi zaskoczyła nie tylko pracowników Wojewódzkiej Federacji Sportu; w klubie zawrzało jak w ulu. Działacze klubowi postanowili szukać ratunku w naszej redakcji, bo chodzi tu nie tylko o sprawę Andrzeja Targi; idzie o coś więcej.

WYMIATACZ

**działacze
w ofensywie**

ŁOMŻYŃSKIE PRZEDSIĘBIORSTWO BUDOWLANE

w Łomży, ul. Nowogrodzka 1

ZATRUDNI

od zaraz w nowo uruchomionej fabryce domów w Łomży
PRACOWNIKÓW W NASTĘPUJĄCYCH ZAWODACH

- ▲ palacz kotłów wysokoprężnych
- ▲ suwnicowy
- ▲ zbrojarz
- ▲ betoniarz
- ▲ spawacz
- ▲ kierowca wózków akumulatorowych i spalinowych
- ▲ elektromonter
- ▲ hydraulik

Wynagrodzenie wg akordowego systemu płac.

Pracownicy zamiejscowi mają możliwość zakwaterowania w hotelu robotniczym. Warunki pracy do omówienia w biurze Łomżyńskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego w Łomży, ul. Nowogrodzka 1, pokój nr 5. ŁK 31324

Zespół Szkół Rolniczych w Marianowie k. Łomży

przyjmuje kandydatów

do następujących szkół na rok szkolny 1980/81:

- ◆ Dwuletniego Pomaturalnego Studium Zawodowego Mechanizacji Rolnictwa (stacjonarnego). Wymagane dokumenty:
 1. podanie (druk szkoły) do dnia 20.08.80 r.,
 2. życiorys i 3 fotografie,
 3. świadectwo dojrzałości lub ukończenia liceum ogólnokształcącego (oryginał),
 4. wypis z aktu urodzenia lub z dowodu osobistego,
 5. świadectwo zdrowia.
- ◆ Trzyletniego Technikum Rolniczego (zaocznego).
- ◆ Trzyletniego Technikum Mechanizacji Rolnictwa (zaocznego). Wymagane dokumenty:
 1. podanie, życiorys i 3 fotografie do dnia 5.09.80 r.,
 2. świadectwo ZSR, SPR lub innej szkoły zawodowej,
 3. świadectwo PR III stopnia lub ZSZ MR,
 4. zaświadczenie z zakładu pracy lub urzędu gminy o pracy na roli.
- ◆ Trzyletniego Technikum Rolniczego i Mechanizacji Rolnictwa (zaocznego) na półroczny semestr wstępny. Wymagane dokumenty:
 1. podanie, życiorys i 3 fotografie do dnia 10.09.80 r.,
 2. świadectwo szkoły podstawowej,
 3. świadectwo PR III stopnia lub dyplom wykwalifikowanego rolnika,
 4. zaświadczenie z zakładu pracy lub urzędu gminy o pracy na roli.

Blizszych informacji udziela sekretariat szkoły (tel. 763-74).

tk 30474





Czwartek 14 sierpnia 1980 r.

PROGRAM I

9.00. Teleferie: Nieobozowa Akcja Letnia oraz - film animowany z serii "Wojna planet".
15.55. Obiektów.
16.15. Dziennik Telewizyjny.
16.30. Wakacje w kręgu rodziny.
17.35. Gra i śpiewa zespół "Oreka" z Gruzji.
17.55. Polygon.
18.20. Studio Telewizji Młodych.
18.50. Dobranoc.
19.00. Lekarz radzi - "O ziołolecznictwie".
19.10. Turystyka i wypoczynek.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Van der Valk, odc. pt. "Rozgrzewka" - angielski film kryminalny.
21.00. Pegaz.
21.50. Antyczny świat profesora Krawczuka.
22.20. Dziennik Telewizyjny.

PROGRAM II

10.00. Antyczny świat profesora Krawczuka.
10.35. Lekarz radzi - "O ziołolecznictwie".
10.45. Kosmos 1980.
12.00. Dziennik Telewizyjny.
16.00. Latający Holender.
17.00. Kosmos 1980 - blok programowy.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
21.15. 24 Godziny.
21.25. Kosmos 1980.

Piątek 15 sierpnia 1980 r.

PROGRAM I

9.00. Kino Teleferii Najmłodszych: film animowany z serii "Augie-Doggie" i "Pies Huckleberry".
15.55. Obiektów.
16.15. Dziennik Telewizyjny.
16.30. Wakacje w kręgu rodziny.
17.05. "Czasami" - impresja baletowa.
17.35. "Daleko od szosy", odc. 2 - "Prawo jazdy".
18.50. Dobranoc.
19.00. Magazyn bezpieczeństwa ruchu drogowego.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Studio Gama: "E 81" - widowsko rozrywkowe.
21.45. Planeta Ziemia - "Strefa skażenia".
22.15. Dziennik Telewizyjny.
22.30. Kineskop.
23.00. Wieczór profesorów.

PROGRAM II

10.00. "Daleko od szosy", odc. 2 - "Prawo jazdy".
11.20. Świat na małym ekranie: "Rzeka Warnow" - film dokumentalny produkcji NRD.
11.50. Dziennik Telewizyjny.
16.30. Gwiazdobiór - Spencer Tracy.
17.40. Świat na małym ekranie: "Rzeka Warnow" - film dokumentalny produkcji NRD.
18.10. Poradnik wędkarski - "Taaka ryba".
18.40. Estrada Folkloru.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. "Lato w Dwójce".
20.15. "Życie obok ringu", odc. VI (ostatni) francuskiego filmu obyczajowego.
21.20. 24 Godziny.
21.40. "Biblioteka" - teleturniej.
22.15. "Twiggy" - program rozrywkowy.
22.45. "Śledztwo zostało wznowione".

Sobota 16 sierpnia 1980 r.

PROGRAM I

15.30. "Artyści w mundurach" - reportaż wojenny.
15.55. Obiektów.
16.15. Dziennik Telewizyjny.
16.30. "Czary mary", cz. II.
17.20. I liga piłki nożnej.
18.20. Studio Telewizji Młodych.
18.50. Dobranoc.
19.00. Świat, który nie może zginąć: "Ludzie z bagien" - angielski film dokumentalny.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. "Pogoda dla bogaczy", odc. 20 amerykańskiego dramatu obyczajowego.
21.05. "Nie wrzucaj piosenki" - spotkanie z kompozytorem Władysławem Szpilmanem.
22.00. "Pilot Maresz" - reportaż filmowy.
22.25. Dziennik Telewizyjny.
22.40. "Eddie w sierpniu" - program rozrywkowy.
23.05. "Popsy pop" - francuski film sensacyjny.

PROGRAM II

16.30. "Lato w Dwójce".
16.55. "Portfel" - polski film obyczajowy.
17.30. "Wojna domowa" odc. 4 filmu TVP - "Pierwszy dzień".
18.05. "Śladami Marco Polo", odc. 6 włoskiego filmu dokumentalnego.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. "Mój koncert" - Zygmunt Kałuzynski.
21.05. "Opowieść kaukaska", cz. I radzieckiego filmu obyczajowego (na motywach powieści Lwa Tołstoja) - "Oleńka".
22.15. "Naprawdę Raquel" - program rozrywkowy.

Niedziela 17 sierpnia 1980 r.

PROGRAM I

6.55. TTR - zajęcia wakacyjne, semestr III.
7.15. TTR - zajęcia wakacyjne, semestr V.
7.35. Alarm przeciwpożarowy trwa.
7.45. Nowoczesność w domu i zagrodzie.
8.15. Emerytury dla rolników.
8.25. Telewizjada.
8.00. Kino Teleranka: "Fred i inni" - angielski film przygodowy.
10.15. Antena.
10.40. Republiki radzieckie - "Litewskie spotkania".
11.10. Dziennik Telewizyjny.
11.25. Rolnicze rozmowy.
12.00. Koncert orkiestry PRITV w Krakowie.
12.50. Z kamery wśród zwierząt: "Na progu życia", cz. I.
13.20. Portret aktorów polskich - Bogumił Kobiel.
14.25. "Przygody Sindbada", odc. pt. "Przygoda w palacu".
14.55. Losowanie dużego lotka.

15.10. "Szufłada" - Profesor Aleksandrów.
15.40. "Inne miejsce, inny czas" - program rozrywkowy.
16.10. "Zgadnij, kim jestem".
16.55. Opera miesiaca - Giacomo Puccini: "Tosca", cz. I.
17.55. "Sandokan", odc. III włoskiego filmu przygodowego.
18.45. "Maurice Ravel - Bolero" - film muzyczny.
19.00. Wieczorynka.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. "Człowiek, który sam siebie przesładował" - angielska komedia sensacyjna.
21.45. Sportowa niedziela.
22.05. "Koncert portowy" - program rozrywkowy.

PROGRAM II

10.15. "Żołnierze ogniowego frontu" - program wojenny.
10.40. "Lato w Dwójce". Przeboje tygodnia.
11.55. Teatr Telewizji - "Przygody Pana Trapsa" w reż. Konrada Swinarskiego.
13.20. Popołudnie fauny i flory.
14.05. "Gram dla..." - teleturniej.
14.55. "Marsjanie i magiczna perła" - japoński film fantastyczny.
16.20. I liga piłki nożnej.
16.50. Stereo i w kolorze.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. I liga piłki nożnej.
21.45. "Wielka wędrówka", odc. australijskiego filmu przygodowego - "Zmiana".
22.40. Śpiewa zespół "Tender".

Poniedziałek 18 sierpnia 1980 r.

PROGRAM I

9.00. Teleferie.
15.55. Obiektów.
16.15. Dziennik Telewizyjny.
16.30. Wakacje w kręgu rodziny.
17.25. "Prawdziwa cnota" - reportaż filmowy.
17.45. "Adam Sangala", odc. 2 czeskosłowackiego filmu historycznego.
18.40. Małe Kino.
18.50. Dobranoc.
19.00. Echo stadionów.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Teatr Telewizji - "Przygoda Pana Trapsa" w reż. Konrada Swinarskiego; wyst. Jan Swiderski, Aleksander Bardini, Zofia Małynicz i inni.
21.40. Trybuna literacka.
22.10. Horyzont.
22.40. Dziennik Telewizyjny.

PROGRAM II

10.00. Adam Sangala odc. 2 czeskosłowackiego filmu historycznego.
11.00. Horyzont.
11.30. Dzień rumuński w TVP.
12.00. Dziennik Telewizyjny.
17.00. Dzień rumuński w TVP.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Dzień rumuński w TVP.

Wtorek 19 sierpnia 1980 r.

PROGRAM I

9.00. Kino Teleferii: "Samochodzik i Templariusze" - film przygodowy TVP.
15.25. Telewizyjny Klub Seniora.
15.55. Obiektów.
16.15. Wakacje w kręgu rodziny.
16.55. Interstudio.
17.20. "Pieśni romantyczne" - recital Wandy Bargielowskiej.
17.35. Sonda - "Obrazy z życia robotów".
17.55. "Królik Bugs przedstawia" - amerykański film animowany.
18.20. Studio Telewizji Młodych.
18.00. Recital pianistyczny Roberta Curry.
18.50. Dobranoc.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. "Sól ziemi czarnej" - polski dramat społeczny w reż. Kazimierza Kutza.
21.55. Ex Libris.
22.10. "Przeboje z Majorki" - program rozrywkowy.
22.40. Dziennik Telewizyjny.

PROGRAM II

10.00. Sonda - "Obrazy z życia robotów".
10.25. Sprawy młodych: "Pójdiesz swoją drogą" - film obyczajowy produkcji NRD.
11.55. Dziennik Telewizyjny.
17.00. Ekran reporterów.
17.25. "Paweł i Wirginia", odc. 10, francusko-szwajcarskiego filmu przygodowego.
17.55. Klub Jazzowy Studio Gama.
18.25. "Skojarzenia" - teleturniej.
18.50. Świątkowie.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Słowa za słowa.
20.40. Wtorek Melomana.
21.40. 24 Godziny.
21.50. Teatr Telewizji - "Prawo głosu" (cz. I) w reż. Gerarda Zalewskiego.
Sroda 20 sierpnia 1980 r.

PROGRAM I

15.55. Obiektów.
16.15. Dziennik Telewizyjny.
16.30. "Jana z dzuneli", odc. II filmu animowanego - "Chwile grozy".
16.55. Losowanie express - I małego lotka.
17.05. Dom i my.
17.20. Dzień dobry w kręgu rodziny.
17.45. Skarbiec.
18.15. Mam pomysł.
18.50. Dobranoc.
19.00. "Reportaż o krzyżodrobie" - film przyrodniczy.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. IV Festiwal Interwizji - Sopot 80.
21.20. Dziennik Telewizyjny.
21.35. IV Festiwal Interwizji - Sopot 80.

PROGRAM II

10.00. Sport - magazyn sprawozdawczy.
11.25. Skarbiec.
11.50. Dziennik Telewizyjny.
16.40. Program morski.
17.00. Człowiek i środowisko.
17.25. Sprawy młodych: "Pójdiesz swoją drogą" - film obyczajowy produkcji NRD.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Sport - magazyn sprawozdawczy.
21.30. Teatr Telewizji - "Prawo głosu" (cz. II) w reż. Gerarda Zalewskiego.
22.30. 24 Godziny.

Kierownicy filii terenowych Zakładów Usług zambrowskiego SKR-u na szczerą prośbę swego dyrektora - nie będą mogli udzielać konkretnych informacji dziennikarzom, bowiem prawo do ich posiadania ma wyłącznie on sam.

Z czołowej łomżyńskiej „doprawialni”, noszącej wyjątkowo trafną nazwę - „Satyr” - wieczorne sprzątanie przegania codziennie tabuny pijanych i całe stada szczurów. O trzeźwości gryzoni nie nam nie wiadomo.

Przyczep do PKS-ów w województwie łomżyńskim nie wyposażono w kasowniki biletowe. A jeśli w nich jeżdżą także uczeni pasażerowie?

Trzecia część narady naczelników (w dniu 2 VIII br.) w Urzędzie Wojewódzkim, poświęconej podsumowaniu ubiegłego półroczu i przygotowaniu do akcji zniwnej, wielu z nich odbyło w kolejce bufetowej.

Pyta nas jeden z czytelników, jak ma złożyć kwiaty na kamieniu pamiątkowym, usytuowanym pośrodku placu Kościuszki w Łomży, aby przy tym uniknąć mandatu za deptanie trawnika.

— Już trzy razy byłam u naczelnika za cementem - mówi Genowefa Zakrzewska z gminy Zambrow - a on nie mi nie dał, tylko nakrzyczał. — Rozumiemy, że cementu mógł nie mieć, ale jak do tego faktu ma się krzyk?

Wprawdzie krócej trwałoby wylczenie, co jest w osiedlu Jantar, bo jest tam jeden wielki plac budowy, lecz bardziej doskwiera to, czego nie ma: ani jednego kiosku „Ruchu”, ani jednego sklepu (do najbliższego od ostatnich bloków - ponad kilometr), ani jednego odpowiadającego wymogom higieny śmietnika, ani jednego dozorey w blokach itd.

W imieniu własnym i Czytelników uprzejmie prosimy ekspedientki w Łomży i województwie, aby były łaskawe nie brać serów, twarożków, drożdży i smalcu bezpośrednio na szalach, bo patrząc, a potem jeść - hadko.

SPÓŁDZIELNIA KÓŁEK ROLNICZYCH w Zarebach Kościelnych z siedzibą w Szulborzu ogłasza **I PRZETARG NIEOGRODZONY** na sprzedaż niżej wymienionego pojazdu:

— samochód marki „Nysa” 521-1/2, nr podwozia 110684, nr silnika 282611, rok produkcji 1973. Cena wywoławcza - 87.000 zł. Przetarg odbędzie się w dniu 1 września 1980 r. o godz. 9 w siedzibie SKR w Szulborzu.

W przetargu mogą brać udział jednostki uspołecznione i osoby prywatne.

Przystępujący do przetargu obowiązani są wpłacić wadium w wysokości 10% ceny wywoławczej w kasie BS w Szulborzu. Pojazd można oglądać w każdy dzień oprócz niedziel i świąt w godz. 11-15 w siedzibie SKR w Szulborzu, woj. łomżyńskie.

W przypadku niedojścia do skutku I przetargu - II przetarg odbędzie się w tym samym dniu o godz. 11.

Wadium z I przetargu zachowuje ważność na II przetarg.

Zastrzega się prawo unieważnienia przetargu bez podania przyczyn.

LK 3432-1

ZŁOTNIK poszukuje mieszkania na rok. Łomża, tel. 26-27 (w godz. 8-15).

Lg 3057-1

— redaktor naczelny, Stanisław Zagórski
— zastępca redaktora naczelnego, Marek Rosiński
— sekretarz redakcji, Lech Gielbach, Wiesław Kotowski, Aleksander Wróblewski, Stanisław Bielecki, Jerzy Brodzki, Wiesław Janicki, Marek Jaworski, Henryk Kin, Klemens Krzyżowski, Jan Kulka, Piotr Kurek, Andrzej Taborowski, Mirosław Wodnicki, KONCEPCJA GRAFICZNA: Marek Goebel, ADRES: Łomża, ul. Sadowa 10, 18-400 Łomża. Telefon 40-22, telex 1-853249. WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Kombin. Wydawniczo-Kolportażowy w Białymostku. Druk: Białostockie Zakłady Graficzne.

KONTAKTY

MINI-KABARET PIEKIELKO PRZEDSTAWIA DRAMAT ADMINISTRACYJNY DIABELSKIE OBRACHUNKI

Tym razem akcja toczy się na nadbiebrzańskich łąkach i topieliskach w pobliżu Goniądza. Cztery diabły, ob. ob. Supraski, Biebrzański, Burzański i Narwiański, brnąc po pachy w krystalicznie czystej, aczkolwiek z lekką mętnej, wodzie, ciągną za sobą kłusowniczą sieć, a raczej jej część, zwaną buźmą. Wystające fragmenty diabelskich cielsk pokrywają gęsta warstwa lokalnych — drobnych i spasionych — komarów. Uważny miłośnik przyrody z całą pewnością wie, że są one pici żeńskiej, albowiem gryzą jak wszyscy diabli.

NARWIANSKI: Niech to diabli weźmą, nie można się nawet opędzić od tego drństwa.

SUPRAISKI: Nu i tak. Ogony we wodzie, niema czem się bronić.

BIEBRZAŃSKI: Sportami was częstowałem, ale nie chcecie palić! A dymek dobry jest na komary.

SUPRAISKI: Od waszych sportów prendzby by my popadali niż te komary. Z czego oni są zrobione, te gwoździe jedne? Musi z jakichś chwastów, a?

NARWIANSKI: To jest, rozumiecie, tak. Tabakę zbiera się zaraz po opryskach truciźnianych, wrzuca do kadzi, zalewa mocznikiem i dopiero z tego kręci się sporty.

SUPRAISKI: Prawde mówicie. Już ja by wolał użyć własny ogon, zeb on tylko chejał się palić. Tfu! Nu, dawajcie, wyciongniem buźmę, może już co do środka nalazło.

NARWIANSKI: Nie boicie się, kolego Biebrzański, że was tu kiedyś ktoś nakryje na tym procederze?

BIEBRZAŃSKI: A niby kto ma nakryć? Jest tu jeden strażnik w okolicy, ale on honorowy.

SUPRAISKI: Znaczą — bezpłatny?

BIEBRZAŃSKI: Aha. Honorowo działa, i temu w okolicy każdy gniecie rybę, jak tylko może.

SUPRAISKI: Tak czy owak cienkie życie mają tuteczne kłusownicy. Komary z jednej strony rypio, strażnik z drugiej... Choćby nawet honorowo, ale zawsze. Nie lepiej rybę w sklepie kupować?

BIEBRZAŃSKI: Ale! Pewnie że lepiej, ale ja, rozumiecie, staram się, żeby do sklepu tylko ostroboka rzucano. No, czasem jeszcze kargulene, ale rzadko.

BURZAŃSKI: A dorsza?

BIEBRZAŃSKI: Dorsza rzucam wędzonego, i też nie za często.

SUPRAISKI: Dobra robota! Temu ludzje i kłusują.

BIEBRZAŃSKI: Ma się rozumieć, ale to jeszcze nie! Jeden drugiemu siatkę, bywa, czasami ukradnie, drugi pierwszemu po gębę za to nałoży, z czego w piekle radość powstaje! No, podnoście ten koniec i na brzeg.

Diabły, postępując okrutnie, sapiąc i parskając, wyciągają z wody kłusownicze buźmę

NARWIANSKI: Oooo! Co widzą moje szafirowe oczy!

SUPRAISKI: Cuda jakieś? Szczupak to chyba nie jest, kapsel widzę, denko... i środek nie pusty!

BURZAŃSKI: Normalna żytnia z kłosem po 145.

SUPRAISKI: A ona niby skąd tu w tej wodzie?

BIEBRZAŃSKI: Pewnie jakiś kłusownik zostawił, żeby ochłodzić. Przyjdzie wieczorem sieci stawiać i ma, jak znalazł. Na co mu goręć do dziadka?

SUPRAISKI: Musi on dzisiaj benzję ganjać. He he! Już ja jego widzę, jak on szuka, a tu flaszkę diabli wzięli, he he. Nie napije się on dzisiaj!

BIEBRZAŃSKI: A to niby czemu? Sieć postawi, skoczy do dziadka, i znowu nachla się jak świnia. U nas nie ma z tym sprawy.

SUPRAISKI: Nu, pić ja dzisiaj nie chciałem, ale zmarz we wodzie jak wszyscy diabli. Dawajcie, wypijem za zdrowie miejscowych pijaków i za nasze dobre kontakty!

WIESŁAW TOMASZEWSKI

KOLEKCJONER

„Diabeł jest to istota bliższa człowiekowi, bardziej ciekawa i bardziej towarzyska. Anioł panie, to jest hrabia, arystokrata, stworzenie subtelne i delikatne, więc niechętnie wchodzi w ziemską atmosferę, która prawdę powiedziawszy, brzydko pachnie. A diabeł zdrowy cham, brat lata, dobry kompan, stary znajomy, bez fochów, bez min, bez pretensji, wlezie wszędzie i wszędzie jest mu dobrze...”

Opinia ta, wystawiona diabłu przez Kornela Makuszyńskiego, nie jest odosobniona. Wiktor Grabczewski z Warszawy, właściciel bodajże największej w kraju kolekcji szatanów, biesów, czortów, haduków, gniewników i dzioboli, mówi, że w Łęczycy, skąd pochodzi, a która, jak wiadomo, była siedzibą diabelskiego wojewody Boruty, nigdy nie straszono dzieci diabłem. Mimo że niejednego wywiódł on na manowce i niejednego wytarzał w łęczycybiotach. W. Grabczewski zbiera polskie biesy i czarty rzeźbione w drewnie i lepiące w glinie — już ponad ćwierć

wieku. Z każdym z nich, a kolekcja liczy sobie już dobrze ponad 200 diabłów, związana jest legenda. Wynika z nich, że nie jest taki straszny diabeł, jak go niektórzy malują. Jest skłonny do psikusów i uciech, to prawda, ale potrafi też cierpieć z powodu nieszczęśliwej miłości, jak ów Wielgus kochający się w pięknej mieszkoce warszawskiej. Jest pełen fantazji i poświęcenia dla kraju jak Gmyr, który pomógł partyzantom zwalczyć niemieckiego diabła Wurma. Najważniejsze miejsce w kolekcji zajmują diabły polskie wyrzeźbione w drewnie przez niezwykłego już twórcę ludowego — Ignacego Kamińskiego z okolic Łęczycy.

Niezwykły zbiór Wiktor Grabczewski można aktualnie obejrzeć na wystawie pt. „Diabeł polski w rzeźbie i legendzie” w Muzeum Mazowieckim w Płocku. Ekspozycja czynna będzie jeszcze przez cały sierpień.

(BM)



Fot. CAF — Sokolowski

UFO

Modnym ostatnio tematem wielu plotek i rozmów towarzyskich są UFO, w Polsce znane jako NOL czyli Niezidentyfikowane Obiekty Latające. O obserwacji tych zjawisk, także w Polsce, znajdujemy ostatnio coraz więcej doniesień w prasie krajowej. W Łomży również są szczęśliwcy, którzy obserwowali to ciekawe zjawisko. Właśnie rozmawiamy z jednym z nich. Nazwiska rozmówcy ze zrozumiałych względów, nie ujawniamy.

— Tak, widziałem UFO, miałem to szczęście. W zeszłym roku (1979 przypisek red.) jesienią — we wrześniu. Wracaliśmy całą rodziną samochodem z grzybobrania. Godzina była gdzieś tak... szósta, może siódma po południu. Znajdowaliśmy się właśnie na trasie między Jeziorakiem a fortami i nagle zauważyliśmy, wszyscy prawie równocześnie to znaczy jeszcze moja żona i dzieci, ten prostokąt nad Łomżą, wła-

ściwie to nad „Bawelną” (tutaj mój rozmówca narysował na kartce prostokąt z bokami o proporcjach jeden do trzech). Poruszało się to z dużą prędkością z północnego wschodu na zachód. Bardzo szybko ten prostokąt malaj, a wyglądał tak, jak wyłączy się telewizor i obraz na ekranie maleje, ucieka w głąb ekranu, tylko że obraz maleje bardzo szybko, a to mało nieco wolniej. Takie wrażenie odniosłem. Barwa NOL-a była intensywnie pomarańczowa można powiedzieć, że czerwona.

Nie, odbicie w szybie samochodu to nie mogło być. Odbicie jakiegos światła na chmurach też nie. Wtedy było jeszcze widno i niebo było bezchmurne. Pogoda była ładna.

To samo zjawisko obserwowali inni mieszkańcy Łomży, a konkretnie dzielnicy Łomżyca. Nie, nazwisk panu nie podam...

Książek science-fiction nie czytam, kryminałów też nie. Czasami oglądam filmy, oczywiście w telewizji. Takie bajki dla dzieci.

— Serdecznie dziękujemy za rozmowę

WYWARY WSPÓŁCZESNE

„Sztandar Młodych” informuje, że plan budowy dróg czynem społecznym w województwie łomżyńskim ma szansę realizacji w ciągu najbliższych 274 lat. Grunt to planować precyzyjnie.

Dyrektor Wydziału Zatrudnienia UW w Łomży poinformował dziennikarza „Expressu Wieczornego”, że specjaliści z dyplomami, chętni do pracy w naszym województwie nie mogli się pomieścić na sali. Ani dziennikarz, ani dyrektor nie ujawnili, w której sali.

W „Dzienniku Ludowym” czytamy, że wojewódzki konserwator w Łomży od 5 lat zajmuje się rozpoznawaniem stanu zabytków, co według „Dziennika” ani trochę nie zmieniło stanu tychże.

Jan Koprowski na łamach „Literatury” pisze, że nie ma powodu nie wierzyć poecie Janowi Kulce. Chodzi o to, że od 1858 roku, czyli od dnia ustawy znoszącej picie alkoholu, wśród Kurpiów nie notuje się zjawiska alkoholizmu.

„Kurier Polski” sugeruje, iż burzyny skradzione z Muzeum Okręgowego udało się odzyskać głównie dzięki temu, że złodzieje nie bardzo wiedzieli, co z nimi zrobić.

O OPETANYCH

Ksiądz Benedykt Chmielewski, uczony autor „Nowych Aten”, w dziele swojego życia zajmuje się też opętanymi. A oto niektóre, spisane przez Nikifora polskiej nauki, „znaki opętanego”: „Od niektórych wychodzi zimny wiatr. Niektórych głowa dziwnie ciąży. Innym mózg ściśnięty bardzo zdaje się. Innym coś się zdaje rzucać w żołądku iak galka, albo waż, iaszczurka, żaba, zkad wamity ciężkie. Innym brzuch się zdyma, iako beben. [...] Przechodzenie od głowy do nóg, od nóg do głowy iakiegoś wiatru. Znaki bywają czarne, napuchłe gęby, gardła podnoszenie, nadymanie. Na pytanie hardo odpowiadają”.

POLOWANIE NA WIEDZME DO WODY

Najpewniejszym postępowaniem dowodowym w procesach o czary było wrzucenie domniemanej wspólniczki szatana do wody. Pławienie należało do kompetencji władz lokalnych, najczęściej organizował je miejscowy dziedzic. Bywało, że mistrzem ceremonii był wykwalifikowany kat, którego umiejętności gwarantowały prawidłowość dowodzenia winy.

Pławienie odbywało się w ten sposób, że czarownicę związaną w tzw. kozła, delikatnie spuszczano na wodę. Jeśli nie tonęła, znaczyło, że ma kontakty z piekłem.

Czarownice nie tonęły głównie z powodu obszernych spódnic, które nim nasiakły, spełniały rolę diabelskiego spławika — trudno było tym sposobem nie złowić ofiary.

Pławienie zawsze miało charakter widowiska, chętnie oglądanego przez tłumnie zgromadzoną publiczność.

Od dowodu z wody nie było odwołania, choć pławione kobiety próbowały się bronić w różny sposób. Jedną z nich np. tłumaczyła się, że nie tonie, ponieważ za młodu smarowano ją gęsim sadłem przeciw krostom.

Wypadki pławienia notowano jeszcze w XIX wieku. Ostatnią bodajże ofiarą próby wody była Kaszubka Krystyna Ceynowa, która utopiono w Bałtyku w 1836 roku.

LEKTURA SYMBOLIZM

Nakładem Wydawnictw Artystycznych i Filmowych wydana została książka Hansa HOFSTÄTERA pt. „Symbolizm”. Pomieszczono w niej między innymi rozdziały: *Wizje i zaklęcia, Marzenia senne, Satanizm — ziemskie piekło*. Obok nieodmiennie kiepskich reprodukcji dobrych obrazów czytelnik znajdzie w „Symbolizmie” teksty-dokumenty a wśród nich fragmenty prozy Hymansa, opisującego „ucztę męskości chwilowo zmarłej”.

pokusy Andrzej Koziary pod redakcją pokusy organ samolotny pokusy